



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5. Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłaty przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7. Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach. Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka* Interpelacya. — Z Austrii p. S. — Z Rusi bałkańskiej p. Iwana Franko. — Tydzień polityczny. — *Powieść*: Za trzydziestoletnią pracę I. p. Z. (Komara) Pietkiewicza. — *Sprawy ekonomiczne*: Eddi — Sosnowice i Moskwa p. P. J. — *Życie społeczne*: Listy krakowskie p. W. P. — *Literatura i sztuka*: Józef Siemiradzki Z. Warszawy do Równa p. J. — *Literatura francuska* p. P. — *Literatura czeska*: Wreblicki Jarosław. Sonety Samotnika (Samatorze). Poety p. Justyna Feliksa Gajlera. — *Teatr* p. S. K. *Fajleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widokrepu p. Nieborakiego. — Kronika bieżąca. — Odpowiedź redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Ekonomia polityczna, dołączona zeszytami w bezpłatnym dodatku do *Prawdy*, w osobnym odbiciu kosztuje rs. 3.

POLITYKA.

INTERPEŁACYA.

Skończył się wreszcie beśnitny protest — interpelacya posłów polskich w sejmie niemieckim co do wydalenia została „załatwiona.” Jak wiadomo czytelnikom naszym, wywołała ona namiętą odpowiedź ks. Bismarka oraz kilka wniosków, nsiujących ją bądź złagodzić, bądź wzmocnić i rozszerzyć. Oaly ten materjał związano w jeden snopek i postawiono na porządku dziennym. I oto objawiła się w całej swej chwale a właściwie miszerocie sławna „odwaga” niemiecka. Po pierwszem wystąpieniu kanclerza sądzono, że w poddańskich sercach, napełnionych popiołem pokory, rozżarzą się iskry sprawiedliwości, współczucia lub gniewu. Nawet grożono w krótkich mowach parlamentarnych, wetydano się, zapowiadano walkę... Zaraz potem drukuna najprzejrzystsza polakom, partya katolików zaczęła brnąć tony niżej i zmniejszać swoje poparcie. Narzeczo podługich matacztwach i odwołkach interpelacya polska weszła pod obrady d. 15 stycznia. Uzasadnił ją w 1½ godzinnym wywodzie ks. Jazdzewski, którego mowa niedosć zrozumiała, niedosć mocna w treści i formie, nie zrobiła należytego wrażenia. Jest to dziś bardzo dotkliwa ułomność Koła polskiego w Berlinie, że ono nie posiada znakomitego mówcy, albo też, że jego wysuwania na front rezonancy nie są znakomitymi. Stronnictwa liczne, silne samą ilością swych członków i niepotrzebu-

jące ciągle rozwieszają publicznie obrazów swego ucisku, mogą daleko łatwiej obyć się bez Gyceronów, niż drobne, skazane na walkę czysto oratorską. Jeżeli centrum w jakiejkolwiek sprawie po prostu: powie nie — samo to jego nie, skłócone ze 100 głosów, ma swoją wagę. Ale polskie nie, powtórzone przez 15 ust, nie znaczy w rachunku parlamentarnym prawie nie a zaważy dopiero wtedy, jeśli na szale spadnie w potężnym rzucie. Do tego ks. Jazdzewski nie jest zdolny — a tego właśnie interpelacya wymagała. To też gdy on skończył poocze-wie kazanie — zapanała senna cisza, nikt nie zajądął głosu: jednych wstrzymywał wstyd od przeczenia, drugich obawa od jawnego przymierza z „nieprzyjaciółmi państwa,” wszystkich zaś mowa polski ukulała do drzokmi a nikogo nie porwał, nie roznamiętnił, nawet nie rozgniewał. Dopiero gdy poseł Liebknecht (w obronie swego wniosku) zajądął kilkakrotnie nerwami słuchaczów, gdy konserwatysta Helledorf (w obronie rządu) wyprzął garść cynizmów i bredni, gdy Winhorst zaczął rzucić w Bismarka ostro grot, rozprowadzając okazywała się.

Przyznajmy, że brak jej było ważnej podniety — Bismarka. Wszystkie miejsca przedstawicieli rządu były puste, a gdy jakiś radca, widocznie nieuprzedzony o obowiązku nieobecności, podczas obrad nad interpelacyą wszedł do sali, uciekł przerażony swem zbłądzeniem. Właściwie zatem wszystkie mowy były monologami: bo na nie so strony rządu nikt nie odpowiadał. Kanclerz z nienawiści do przedmiotu sprawy, a nadto z konsekwencyi w twierdzeniu, że ona należy do sejmu pruskiego, nie zaś niemieckiego, wreszcie z lekceważenia dla trybunału, który nad nim ustanowiono, nie przyszedł i żadnemu z członków rządu przyjęcie nie pozwolił. Niech się nakiwają przeciwko mnie palcami w butach — powiedział sobie.

Ostatecznie po odrzuceniu wniosków prawodawczych sejm przyjął ogólnikową nagany dla rządu za wypędzenie niwninnych ludzi. Jest to naturalnie zwycięstwo bardzo idealne, wygnanych nie wróci a skazanych na tulożek od niej nie uobroni, ks. Bismarkowi ani jednej godziny snu nie odbierze, ale pomimo wszystko jest to zwycięstwo. Słabo, ogłędnie, niemal pokornie i bojaźliwie, ale naród niemiecki zaprotestował przeciwko gwałtowi, zaprotestował przeciwko postępowaniu człowieka, przed którym bałowchwalozko kłosezy, a czynił to nie z sympatyi dla skrzywdzonych, lecz pomimo głębokiej dla nich niechęci. Tem większe jest moralne znaczenie tej nagany, którą ks. Bismark po raz pierwszy chyba usłyszał z ust swego narodu. Jeżeli on zaś nie gardzi zupełnie tym narodem, jeżeli nie stracił wrzliwości moralnej, powinien by w tem napomnieniu wyczytać przestrożę, znaleźć dowód, że jednak ów sromotny edykt pruski musiał być niegodziwym, skoro nie uzyskał nawet popobławania w społeczeństwie, które ślepo korzy się zwykle przed żądaniami i rozkazami swego kanclerza. Daremma to wszakże nadzieja. Nowy kawaler orderu Chrystusa stanął i wyniesiony został tak wysoko, tyle potęg zdeptał, tyle władzy posiadał, taki uczul zwrócił głowy w dymach kadejdel, że on dziś już nie jest zdolny pojąć i uznać świętości jakiegokolwiek a wigo i moralnych praw po za swoją wolą. Logika etyki tego straszego człowieka zna tylko jedną postać wniosku prawidłowego: moralnem jest to, czego ja chcę, a ponieważ chcę wygnad i wytipię polaków, wigo gwałt ten jest moralnym.

Nie mają dziś ci biedacy przyjaciel w świecie, wolno wszakże wątpić, czy ostrze tego wnioskowania przyłożone nawet do ich azyi, uznane będzie jako dość ofiary świętej. Zdaje nam się przeciwnie, że wobec święta Bismark przegrał proces

z polakami, chociaż nie został skazany na zwrot im należności, tylko na — kozała moralne.

Z AUSTRII.

Wiedeń, 11 stycznia.

Hamletowskie pytanie na wstępie. — Ogólny zastój i upadek. — Jakimi manowcami błąka się austriacka polityka zagraniczna. — Wewnątrz nie lepiej. — Realicya ekonomiczna i jej skutki. — Nicco o ugódzie z Węgrami. — Niemiecacy klerykałki i szkoła.

Czy do chóru znabychy śpiewów, które ze wazech stron odzywają się na zakończenie starego roku, mamy dorzucić i z naszej strony ton goryczy i narzekania? Z pytaniem tem wazymy się jak królewicz duński w dramacie Szekspira, bo nie chcielibymy pomnażać monotoni pesymizmu. A przecież, trudno powstrzymać się od tego, bo gdziekolwiek sięgnąć myśla, w którąkolwiek stronę rzucić okiem, wszad uderza nas widok zastój i upadku, a znikąd nie świeci złotym promieniem jutrzeńka nadziei — promieniem, który mógłby stanowić ręką lepszej przyszłości. W Austrii więcej, niż gdzieindziej, podobnie przy schyłku ubiegłego roku utyskiwani, i na tem polu znaleźli się przyjaciele i wrogowie panującego systemu razem. Zadowolonego oblicza nie widać nigdzie, bo jednemu to, drugiemu owo, a każdemu coś dolega. W wszystkich dziedzinach życia publicznego Austrii apokrypsy namacalnie coraz większy upadek.

Pokożenie polityczne pogarsza się. Austriacka polityka zagraniczna błąka się po manowcach niemieckiego egoizmu i niemieckiej brutalności, których skutki zaznaczyły się na półwyspie Bałkańskim krwią, jaką „ślepy miecz” brata utoczył bratu z pod samego serca. Na pobojowisku wojennem leżą wprawdzie spokojnie stopy trupów w zimnych jamach i tylko ptactwo, szukające żeru, przerywa swem krakaniem panującą chwilowo ciszę na sniegiem zawiązanych polach walki serbsko-bułgarskiej, ale ktoś zdół odgadnąć, ażu ten spokój nie jest tylko zwiastunem nowych krwawych zapasów pomiędzy Kaimem a Abłem słowiańskim i czy te zapasy nie będą w swem następstwie hasłem do

wybuchu wojny na innym miejscu półwyspu, dynamiem dla tak zwanego „koncertu mocarstw” europejskich? Któż zdół przewidzieć, jakie jeszcze wynikną stąd mogą zawiadania ogólnoeuropejskie, których burzą spioniene i wysoko bijące fale zagrażająby skolataney nawie austriackiej polityki zagranicznej utonięciem? Bądź co bądź, nawa ta pociła się na bystre i niebezpieczne wody, tak dalece, iż dziś już król Milan, smuszony smutnym wynikiem opieki austriackiej, szuka ratunku dla siebie w zbliżeniu się do Bistacy i jego stronniactwa, Austrii wrogię. Z drugiej strony polityka hr. Kalnkego, bijaca ciosem przed się pięcio, gwoliącę w Niemczech najwięcej prawa ludzkości, ma zaraz na wstępie do „zanotowania” dotkliwą porażkę, skoro jej nie udało się, nawet tak wielkimi ofiarami, utrzymanın swojego wpływu w Belgradzie. Ale to tylko początek owoców, jakie zbiorad będzie.

Wewnątrz dzieje się nie lepiej. Spory narodowościowe przybierają coraz zaciejsze i namietniejsze oeschy, a z ich odgłosów wytworzą się coraz dalszy chór. W braku chwilowo Rady państwa przeniosły się one do sal sejmowych, gdzie — jak np. w Czechach — wybuchają górzaco. Z sejmów przeruczą się one niebawem do parlamentu, poczatą przeto chorobą stałą. Przybytek ich, jak ogni świętąni Junusa za czasów wojującej Romy, cingle będzie otwarty.

Te ustawiczne kłótnie i swary wypalniają cały czas drogi, pochłaniają zupełnie czynność osobników i grup, powołanych do użytecznej pracy dla ogółu. Dlatego jalowy zastój ogarniajądziedzinę ekonomiczną i społeczną, dla tego upadek ogólnego bytu materyjalnego zaznacza się wyraźnie i zastraszająco. Głodni walają we wszystkich „językach austriackich”: obelha! — skrzepi od zimna wyciągają dłoń po kawal węgla kamiennego, a zamiast obelha i węgla rzucają im zajądła szermierkę o „rozporządzenie” języczne, lub o to, czy stróż nocny w mieściecho X. lub Y. ma wolac: kto tam! w języku niemieckim, ooskim, czy słowiańskim! Ma to ich zadowolnić w srogię potrzeby życia! Masz ludność robotniczą, bez względu jakiej używają mocy, nie rozumieją wcale tych hasel swoich „logikalnych przedstawicieli”. Nędzą przyszła im wyrok na podobnie „seczytace” i idealne rzeczy; czują instynktowo, że w maszynie „wyższej polityki” musieli się kółu polamać lub popadć, skoro ciężka praca nie może już zdobyć obelha, opatu

i odsiędy. Niezadowolone tli się na olbrzymiej przestrzeni i aszerzy jak podziemny ogień na polach torfowych, obejmując coraz większe kregi. Oczu wszadzie zapach awędu, wiaad po ściegłym się dymie, który owiewa ziemię, jak oimniegnad można, że ogień rośnie a z nim niebezpieczeństwo. Tylko powołane czynniki, zaścietrzewione jak koguty w walece jalowej i drobnotkowej, nie mają czasu czy nie chodą tego dostrzedz. A przecież sprawidziwa natawa językowa i rzetelne przestrzeganie zasad autonomistycznych mogły raz na wazwas pokrzyż kres sporom i zwrozić dzialalność ustawodawstwa w dziedzinie palących kwestyj ekonomiczno-społecznych.

Ale prawda, wszak gabinet hr. Tauffego oddał w ręce niemieckich klerykałów, podobnych ksiądz Liechtensteinów, Liebnacherów i Zallingerów, lubiących się zwad „chrześcijańskimi socyalistami,” reformy przemysłowo-społeczne. Reformy te zdrażają od poczatku do końca zaima realicyę, chociaż wykuty sobie za cel polepszenie bytu przemysłowców a nawet robotników. Główne środki też, jakich użyto, polegają na ograniczeniu wolności handlu, przez zaprowadzenie wysokich cel oehronnych, i zarobkowania, za pomocą tak zwanej „noweli przemysłowej,” która wskreśliła sredniowieczne oeschy i wprowadziła tak zwany „dowód uolnolenia”, utrudniający współzawodnictwo, a przeto pobawiający robotników oesziwio zarobku a nadio stawiający ich w zwiastłości od majstrów. Po tych srodkach spodziewano się, a zwłaszcza mali przemysłowcy mniemali, iż przez usunięcie konkurencyi i ustroj oeschowby był ich polepszyć się musi. Oozakiowania ta wszadkie nietylko zawiody, lecz nawet reformy przyniosły wręce przeciwny skutek, oo kresztą było łatwym do przewidzenia, ponieważ przyczyną upadku ekonomicznego tkwiw zupełnie gdzieindziej, aniżeli w ruchu handlowym i w wolności zarobkowania. Na smoka, na kapitalizm, pochłaniający ofiary pracy i wogóle wztężności przemysłowej, nie zwrocono bynajmniej uwagi. Obłąd był tak ogólny, że nawet robotnicy, lubo z poczatku zaznaczyli wyraźnie swe niezadowolnienie ze wspomnianej „noweli,” wzjęli później udział zgodnie z nową ustawą w organizacyi oeschowych stowarzyszeń. Teraz jednako po mniej więcej rocznym wyprobowaniu tej instytucyi, wazczą się srod nich ruch przeciwny stowarzyszeniom oeschowym: odbywają się agromadzenia, w których

— Panie podkomorzy, kiedym użył u kacięcia, blankiety do kwitów były takiej formy.

Następował opis.

— A dobrze, panie Żurbo — odpowiadiał dziedzic nosowym, pańskim głosem — i ja-bym życzyl u siebie tego samego.

Wtedy Żurba zaprowadził nowy ład w zarządzie lesnym, a pan podkomorzy rad był. Pewnego dnia przed dziedzicem, rozpartym w fotelu, ozywiony aż do ramion-ców i z okiem palającym, stojąc z uszanowania, taką wiodł rozmowę:

— Dam panu dochodu rocznego z lasów od pietnastu do dwadziestu tysięcy, ale potrzebuję, żeby zarząd do mnie całkowicie należał.

Chlebodawca zamyślił się. Przypomniał sobie jednaka ukochanego, któremu nie potrafiłby odmówić pieniędzy. A syn dzu ich pochłaniał na czaty w stolicy. Kurty i kobiety, nieobojęne dla niego, pomimo żony. Córkom posagi trzeba było dać wielkie, żeby móc w łatwo knpić sobie mogły. Rozjął im więc czoło.

— Dobrze — rzekł. Daje panu wszystkie lasy swoje w zupełny zarząd. Jak namy się umówić oo do wynagrodzenia...

— Poprzedzając na dotychczasowej pensyi.

— Jaktó, panie Żurbo? — krzyknął uradowany i zdziwiony dziedzic.

— Frdżez tego, wymagam procentów od dochodów, które panu dam...

Z ozmurą na ozoło przystał pan na zadanie. Rozpozgodził się jednak i prosił usiadć, gdy oficyalista nie okazał ochoty przy oznaczeniu stopy odsetek dla siebie. Były one bardzo niskie. Okoliczania żarliwie za to. Kto inny, niejedną z ganiących na jego miejscu postąpiłby zgodniej z własnym interesem.

— Nie robi majątku — gadali jedni.

— Będzie kradł — prawili drudzy.

Miał sześćset rubli pensyi i nadzieję ty-sięcia tantemy, a był w wie wieku, liczył sobie trzydziesiąt siedm lat. Miłobę jego oj-cowska dzielilo troje dzieci. Najstarsza oórke wypadało już oddać do jakiegoż zakładu. Podwójną więc wyislił.

Strzał łosna urządził na wazór rządowej i dla spotęgowania usilności „losunków” w dozorze przemaczył im trzecia część kary pieniężnej, ściąganej od szkodników. Jak ogary tropili wtedy złodzieży, narazali nieraz swe życie, byli bici przez chłopa-ki, pięgamii im wygrusano; ilekroć przed-chodzili przez wieś, ozoło uszu ich dola-tywały groźby zabójstwa. A byli to rów-nież kancie, tylko bezziemi, zarabkują-cy najmniej...

3)

POWIEŚĆ.

ZA TRZYDZIESTOLETNIA PRACĘ.

III.

Jest powiat między Dnieprem i Prypiecią, tam powadrował Żurba ze swą rodziną na służbę. Nowy chlebodawca jego Zazorskim się nazywał. Miał on posiadłość z czterdziestą tysięcy morgi składającą się, w tej hoźbielszu wiosk — dwadzieścia. Był to człowiek podeszły już lat, ojciec jego należał do przedostatniej konfederacyi i pragnąc mieć jaknajwięcej, byłby robot-czego, spalił papiery, awiadając o szlachectwie jego czynachownik.

Żurba objął obowiązki nadlesnego. Rozpoznał dzialalność swą od poznania lasów, ich uroczysk, knisi, od przejrzania rachunków poprzednika. Ożyły mu w pamięci wszystkie porządki, jakie panowały w zarządzie dobr lesnych księcia Wirzajzły. Siła jakaś pchała go do ulepszeń w mieniu chlebodawcy.

uczestniczy po kilka tysięcy robotników a na których zapadają jednogłośnie ukwały przeciw organizacyi cechowej, mającej te praktyczną doniosłość, że robotnicy teraz występują tłumnie ze stowarzyszeń. Jest to atoli tylko początek ruchu, wychodzącego z dołu.

Kłopoty ekonomiczne zwiększa w Niemalym stopniu zbliżająca się ugoda z Węgrami, która co lat dziesięć musi być odnawiana. Jeżeli dualizm podzieli potęgę państwa i zwińi natę jego rozwój, to zawarte z Węgrami *pacta conventa* co do odnawiania unii są istotną plagą dla Austrii, przyczyniając się nadto niepoopie do wstrząsania wszystkimi stosunkami państwowymi. Węgry bowiem, którzy łączyli sobie w wydatkach współpaństwowych w stosunku 30:70 procentów opłacanych przez Przedlitawie, nie poprzestają bynajmniej na tej ogromnej korzyści, lecz występują przy każdej odnowieniu ugody, a więc regularnie co lat dziesięć, z nowymi uroszczeniami, które zmniejszenie na brzożącą monetę, przedstawiają miliony. Tak samo stało się i obecnie. Niestety, rząd przedlitawski licząc się z wpływami Węgrów na koronę, "ustępują im zwykle, nie dbając o to wcale, że obarczają na korzyść zalitawskich sąsiadów ludność, która i tak uginą się pod nadzwyczajnym uciskiemem "sru-bu" podatkowej." Jeżeli przeto słyszymy z prasy ministerialnej brzmienie radośnego okrzyku: ugoda już prawie gotowa! — to nie mamy bynajmniej powodu do niechęci, ponieważ podane szczegóły stanowią dowód, iż i tym razem ucyknie Węgrom we wszystkich punktach główniejszych ustępstwa. Dotyczy to atoli przedswyżystkiem spraw celnych. Wymusił on pomiędzy innymi cła zbożowe, co niezawodnie będzie miało ten skutek, że chleb dla biednych podrożeje. Gdyby wszakże na tych opłatach był koniec Bynajmniej. Obs rząd w porozumieniu — jak powiada szablon półtorozdowy — przedstawia oba parlament zrewidowaną taryfę celną, co znaczy w zwykłej mowie, iż znosi się na nowe powiększenie opłaty od rozmaitych wyrobów zagranicznego przemysłu, który kosztom austriackich konsumentów ma chronić austriacki przemysł "od upadku."

Słowem, gdzie spojrzeć, wszędzie reakcy polityczna, ekonomiczna i społeczna, zabijająca wszelką myśl zdrowej inicjatywy i pozytywnej dla ogółu pracy.

Swoją drogą brudzi niemieckie stronnictwo klerykalne po sejmach w sprawie szkolnej. Zarówno w stolicy Tyrolu, jak

Solnogradu i obu Austrii podnosi ta hydra swój żeb szkaradny do góry i szoszerzący, robi mienie, jak gdyby chciała poćwolić nauki, zaczynając od szkół elementarnych a skończąc w naukach. Przedswyżystkiem obchodzi klerykałom o szkoły ludowe, które pragną poddać pod tyranie mitry i antany. W sejmach to tylko szermierka przedniej strazy, właściwa walka rozpocznie się dopiero w Izbie poselskiej. Możemy śmiało już teraz przegotować się na nowe, przejrane wydanie "noweli szkolnej," która szcogólnie Kolu polskiemu sprawiła tyle przykrości. Ale wola klerykałow jest waszochmoona, ona przemoże wszelki wstyd, wszelkie wahanie się, bo ona jest po prostu pośrednim rozkazem dla radu jak i dla prawicy. *Se solo, sis jubeo* Liechtensteinów i Lienzachera kruszy z łatwością wszelkie zapory, działa jak przyłożony rewolwer do piersi człowieka, którego chce się obdrzeć. Bez klerykałow niema większości, a te cztery słowa mówią wszystko.

Pan Lienzachera, pomimo lat 70, jest nowożeńcem. Niechaj tego nikt nie bierze za przenośnię lub art. Bogobojny bowiem ten mąż rzeczywisty zarządził się z ośmiastoletnią panną. I niech tu ktoś prawo o braku przedsiębiorczości u klerykałow! Brak chyba jeszcze, żeby "wojownicy" monsignore Greuter, zakasałszy rewerendy, dosiadł znanej "skasky z Klippach" i dowodził dywizją kawalerii.

Powtarzamy: reakcyą i zastojem skończył się rok stary, a ze spotegowaniem temi zmianami charakterystycznymi rozpoczęł się nowy. Jak długo będzie zmora wstępnictwa przytłaczała piersi i hamowała wolny oddech?

S.

Z RUSI HALICKIEJ.

Lwów, 15 stycznia 1886.

Stanowisko partyi ruskich względem mowy ks. Pełesza. — Wahanie się ks. metropolity.

Mowa ks. biskupa Pełesza, wygłoszona w sejmie przy obradach nad wnioskiem Romaszczuka, a usnana zaraz za program rusinów przez księcia Sapięgię i przez całą prawie prasę galicyjską-polską, bardzo niejednakoce wrażenie wywarła na organy pojedynczych ruskich stronnictw,

czy też odłamów. Dziennik narodowców *Dilo* w numerze 142 powiatał ją entuzjastycznie, jako swój własny program, głosząc zarazem w nadmierze unięsienia, że "kto nie przyjmie tego programu, ten traci prawo nazywania się rusinem, od tego cała Ruś nie tylko odwróci się z pogardą, ale pójdzie przeciw niemu." Z rusińskiej strony ukoczono już rachunek z antinarodowcami rojeniami, z antikatolikami i antiaustriakami zachciankami jednóstek, za oom pójdzie energiczna i pozytywna praca we wszystkich tych trzech kierunkach." A więc kto nie jest narodowcem, kto nie jest katolikiem i kto nie jest austriakiem, ten nie tylko nie ma prawa nazywać się od d. 28 grudnia 1885 roku rusinem, lecz nadto staje się wrogiem Rusi. A więc od tego dnia rusini galicyjscy, zjednoczeni pod sztandarem ks. Pełesza, zaczynają pozytywną pracę w kierunku narodowym, katolikiem i austriakiem! Jaka to będzie praca, bliżej nie wiemy, lecz bądź co bądź życzymy jej powodzenia, chociaż równocześnie życzyć by wypadło nieco obłądziejczy krytyczny rozrząd nad tem, czy rzeczywiście program ks. Pełesza (naturalny z jego stanowiska, jako biskupa katolickiego), obejmuje cały naród małoruski, czy jest tak zupełnie identyczny z zasadami narodowców i czy był to, jak mówi *Dilo*, "dawny i święty program całego rusińskiego narodu?"

Daleko chłodniej zachował się *Nowy Proom*, organ "Ruskiej Rady," w obecnym czasie lawirujący i kłokitujący na wszystkie możliwe strony. W mowie ks. Pełesza nie dojrzał żadnego programu, chociaż widzi w niej wiele prawdziwych i trafnych myśli. Wielką wagę przywiązuje do tego entuzjazmu, z jakim powitali mowę narodowców, a z tej przyczyny wyraża życzenie, ażeby ks. Pełeszowi udało się doprowadzić ich rzeczywistnie na drogę narodową i kościelną, która wówczas — o osem *N. Proł*, nie wątpli — będzie taką samą, jak jego własna.

Jedno tylko *Słowo* zajęło stanowisko czysto odporne, a w swem sprawozdaniu sejmowem zżyło mowę krótko: "Dalej przemawiali jeszcze ks. Pełesz, książe Sapięgi i inni, żeby wreszcie nie dogadać się do niczego." Fejletonista zaś tego organu w humorystycznym przeglądzie ubiegłego roku pisał: "Na r. 1885 przepowiedział astronomowie trzy zaćmienia słońca, i rzeczywicie, wszystkie trzy spełniły się na naszej Rusi halickiej. Pierwszem zaćmieniem był zamach narodowców na bank

Żurba miał także dużo niepokojów i trosk przy wyiskaniu dochodów. Wynajął ludzi zbożających z poza Dniepru do giejcia pólów i obwodów do kół z jesionu, a potem miał z nimi wiele kłopotu, bo umówili się, żeby ich dziesięć żywić. Wieg trzystu robotników doglądał i karmił musiał Leśniczym i leśnikom nie zupełnie ufal, lecz sam codzień jezdził do parkinów objeżdżać, czy dobrze i sprawnie robota szła. Drzewa tam sterowały, splatające się z sobą konarami bełzistymi, n stop ich śnieg biały, w powietrzu unosił się dym z drew osinowych. W parkinach prażyły się jęstoni i ludzkie krztasili się. I nni snuli się koto kato zwanych "bab," otaczające je gorącymi i buchającymi parą dragami, z czego potem robiono płozy lub obwody. Ten tawar leśny miał wielki odbyt u kupców... Żurba wziął od nich zaliczkę, za którą ma podkomorzą rękę udoisnąć mocno; pryttem określony był czas odstawy na brzeg, więc po oalych dniach przepadał on leśie, chcąc robotę przyspieszyć. Wracał zaś późnym wieczorem do ogniska domowego, gdzie żona, strwożona długą nieobecnością, przypisując ją przypadkowi groźnemu dla życia lub zdrowia, oczekiwała z bijącym sercem.

Często, z powodu handlu towaram leśnym, na kilka tygodni wydalal się z do-

mu, zostawiając żonę na pastwę myśli dziekich i przypuszczeń sąsiednych. A nż burza wyrwie drzewo z korzeniem i cianiu nań, gdy jednal będzie, zmiażdży go niechybnie! Na rzekach łód cienki od promieni i wiatrów wiosennych, nż pęknie pod nim w czasie przepływu... Jemu samemu nieraz serce nierównom tępem uderzało na myśl pozaru lub choroby, któryby istoty drogie dotknął...

W końcu roku ze sprawozdania, wytwornie i sumiennie ułożonego przez Żurba, pan Zasorski, dziesięć na Topohadach, Holiszczach i Temurkach, dowiedział się, iż do jego kasy z lwów wpłynęło dochodu — szesnaście tysięcy...

— Dobrze się spisał Żurba — gadali jodni w okolicy. "Dał" Zasorskiemu szesnaście tysięcy czystego...

— To dopiero dziw! Więcej można było dać — sykała saviś. Dwadzieściośal...

— No, trudno... Jakże chcecie — pierwszy rok...

— Do kieszni schował kilka tysięcy ków! — wnioskowali inni przyzwyczajeni do kradości i przeniewierstwa oficyalistów, zle opłacanych.

W duszy i charakterze Żurby zasęły zmiany. To, z osem przez osiemnaście lat stykał się, wyrzyło swe ślady. Nie był to

juś ów młodzieńcze z pierwazych dni ełub-y w kiejcia, pielegnowaniem kwiatów i piaseinictwem zajęty. Miał jego otoczeń w codziennych, gospodarszych szczegółach, w rozmowie dziesięć imiona kupców, żydów, w głowie roily się i u st nie schodziły punkty umów różnych. Nie zaczął wprawdzie poczucia godności, lecz nabył mnowość rachub takich, jakie powstają przy stosunkach zależności. W mianę zwiększenia się rodziny, częściej musiał tłumić gniew, burzony przez niechętność uwagi chlebowady.

— Czyżby to znosił pokornie — mawiał — gdybym był bez rodziny? Manuski pod pachę i w świat! Nie brałem przeście ślubu z dziećmiem.

Mieszał z rodziną we dworze, w oficynie, niedaleko pałacu. Był więc pod pańskim okiem, skropowany ciagle. Dzieci nie śmiały w zabawach swych sięgnąć dalej, jak do polowy kolistego trawnika, pierzchały, zapędzwały się zbytnio, z bożnością spozierające na pałac odznych, wspańnitych oknach, o rzędzie słupów białych przed gankiem i o dachu czarowną błachą krytym. W on światiętne "pan podkomorzy" zapraszał Żurba na obiad. Szedł on tam, żeby w stolu czuś się oniesmielonym i przybitym okaleśnością zastawy i umeblowania, żeby wysłuchać rozmów

Kryloszański, drugim — zamach na „Dom Narodowy“ wreszcie trzeciego wypadło pod sam koniec roku, a była niem mowa ks. Pełusza w sejmie lwowskim.“

Rzecz ciekawa atoli, że ks. metropolita Sembratowicz, który z mowy ks. Pełusza w kilku punktach musiał być niezadowolony, już chociażby dla tego, że jeden jego ośpód dość niedwuznacznie zwrócony był przeciw niemu za to, że zastępując marszałka, w sejmie nie przywołał do porządku panów Torosiewicza i Golejowskiego — mimo arcy osobistej widocznie zaważał się, czy iść do toczącej się drogi, czy też wrócić? A dotychczasowa droga ks. metropolity wcale nieszczerze świadczyła o jego roznamiętnieniu politycznym. Dał on się po prostu „skonflikować“ partii t. zw. twardzi, która rada była znaleźć w nim opór dla swoich własnych celów. Otóż obecnie ks. metropolita zaważał się, a jak mi mówiono, na uciecie intronizacyjnej ks. Pełusza w Stanisławowie w prywatnych rozmowach przedstawiał się także jako narodziwy. Czy zwrot ten będzie stanowczym i o ile zawisły na szali następne stosunków, tego obecnie rozstrzygnąć nie można, zwłaszcza z uwagi na to, że organ ks. metropolity, *„Mir“*, redagowany jest przez ludzi z „starej“ partii, że więc z tej strony zwrot do narodotwa będzie dosyć trudny.

L. Franko.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wszystko państwa bałkańskie odpowiadały już urzędowo na zbiorową notę mocarstw i, rozumie się, odmawiały rozbrojenia: Serbia dlatego, że jeszcze pokoju nie zawarła, Bułgaria — że uczyniła wszystko, co mogła, więcej zaś ze względu na bezpieczeństwo własne nie uczyni. Grecja wreszcie — że czekać musi na rozwiązanie sprawy rumelijskiej, ażeby przekonać się, czy interesy jej nie zostaną naruszone. Turcja również nie usłuchała wezwania, obraziła się nawet, że porównano ją z małymi państewkami, i jakby w odpowiedzi na niewczesną propozycję, wydała rozkaz uruchomienia 100 batalionów rezerw. Energię ta świadczy, że „chory człowiek“ umierał nie chce i jako prawdziwy barbarzyńca nie ufa radom świątyni europejskich lekarzy. Ubrojenia turkocki są raczej przy-

gotowaniem się na wszelki nieprzewidywany wypadek, aniżeli odpowiedzią na wojowniczą postawę Grecji, bo do obrony grania stojące pod bronią siły są nadto wystarczające. Grecja znówu na żądanie rozbrojenia odpowiada powiększeniem armii a Serbia powołala drugie rezerwy.

Zbiorowa nota mocarstw ma być powtórzoną „z naciskiem.“ Czy jednak nacisk ten wystarczy i niebezpieczeństwo wojny usunie? Wątpić można o tem i zdaje się, że mocarstwa podzielały to zdanie, ponieważ na wypadek wojny grecko-tureckiej przygotowały t. z. protokół bestronności, w którym zobowiązy się nie pomagać żadnej ze stron wojujących.

Układy o pokój między Serbią i Bułgarią, toczy się będą w Bukareszcie; tymczasem ksiądz Aleksander stara się jak najprędzej ukonczyć sprawę inną, dlatego zapewne, żeby w ciągu rokowań wystąpić z faktem dokonanym. Turcja wyraziła już pośrednio zgodę awna na połączenie księstwa z Rumelią, stawia wszakże jeden warunek, żeby w razie wojny z Serbią lub Grecją armia bułgarska działała razem z jótomanską. Warunek ten niebezpiecznym jest dla Bułgarii, ponieważ zawiązanie na półwyspie Bałkańskim przybrnąć mogą szersze rozmiary i wciągnąć młode państwo w wojnę, w której narazem będzie bezpieczeństwo jego a nawet istnienie.

Ważną wiadomość przyniosła gazeta rosyjska. Na paradzie wojskowej w Petersburgu w d. 18 stycznia generał Kantakuzen przedstawił Cesarzowi oficerów rosyjskich, którzy słuszyli poprzednio w Bułgarii. Najjaśniejszy Pan wyraził im swoje podziękowanie. Dzienniki utrzymują, że oficerowie ci powracają obecnie do Bułgarii. Świadczy to, że nie tylko ona otrzymała uznanie rządu rosyjskiego, ale że i stosunki przyjaźne znowuły się.

W Anglii gabinet zadowolony utrzymuje się u steru rządu, chociaż przy pierwszym głosowaniu spotkał go może porażka. Układy a irlandzkie rozbiły się, ponieważ Parnell nie chce ani na włos odstąpić od swych wymagań zupełnej autonomii. Salisbury próbuje więc raz jeszcze załatwić sprawę irlandzką według starej recepty: posada wiekróla ma być zniesiona, również jak ministerium dla Irlandii, oraz wydane będzie surowe prawo przeciw nadużyciom rolnym. Inne jednak wiadomości głoszą, że rząd ten projekt cofa, przekonał się bowiem, że irlandzcy gotowi są wywołać zbrojne powstanie. Bard- co bądź, sojusznicy zachowawcami par-

nelistami uważać można za zerwany, liberalni zato, a szczególnie Gladstone, występują z coraz nowymi obietnicami. Irlandzcy nie bardzo wierzą „staremu przyjacielowi“, który już ich zwiódł kilkakrotnie, tem bardziej, że i z obozu liberalnego odezwały się głosy przeciwnego zdania, nie odrzucają jednak zafiduarów, żądając tylko rękoma. Dziwny ten targ nie prędko jeszcze zapewne skończy się i za nim kontrahenci zaważą ostateczną umowę, prawdopodobnie nastąpi zmiana gabinetu, rozwiązanie parlamentu i nowe wybory, wreszcie kilka prób zastosowania dynamitu a kilka praw wyjątkowych.

Archiębiskupem gruzińskim zostaje podobno Niemiec; niektórzy gazety niemieckie twierdzą nawet, że stolica archidiecezyi przeniesiona będzie do Berlina; „żyziłowość“ Watykanu nie taką może jeszcze niespodzianką gotuje.

We Włoszech profesor Sbarbaro, ostatni soeyiniani, jak sam się nazywa, wielki przyjaciel polaków, ale większy jeszcze awanturnik, któregoza rozmaite skandale w parlamencie i na ulicy skazano na 8 lat więzienia, wybrany został posłem. Rozumie się, rząd musiał uwolnić więźnia, który powrócił już do Rzymu i zaczął wydawać dziennik. Najbliższe posiedzenia parlamentu będą widownią nowych zajęć, p. Sbarbaro bowiem nienawidzi ministrów i nie zwykł hamować ani języka swego, ani nawet rąk.

Petersburg. Szlachta guberni symbirskiej podała adres do Cesarza, w którym powiada: „Wierzymy Najjaśniejszy Panie, że Rosya pod kierunkiem Twojej woli samowładnej wyjdzie zwycięsko ze wszystkich nawięzłych Opatrzności. Wierzymy, że podjęte przez Ciebie przekształcenia dadzą nam możność spokojnego w wielkich żywota, wytworzywszy silną władzę, zbrań której ciępieli dziś zarówno obywały, jak wojskami. Oby panowanie Waszej Cesarskiej Mości było równie sławnem dla Rosyi i równie groźnem, jak za czasów wielkiej Monarchii prababki Waszej, a spokój i porządek w drodze ojczyzny naszej ustalił się.“

Najjaśniejszy Pan rozkazał rzeczyć: „Oznajmił podziękowanie szlachcie symbirskiej i upewnił ją, że osiągnięte wykazanych w adresie celów będzie przewodził myślą w pracach, jakie minister spraw wewnętrznych dla przekształcenia instytucji miejscowych przedsięwzię.“

o pokrewieństwach i anegdotek, dotyczących członków rodziny dziadka. Wszyscy tam byli grzeczni i wykulturowani w objęciach, proces niemo. Gdzieś na dnie duszy ambitnej szczyta osiadła i kula go, że dostrzoił się nie umiał do tych ludzi. Oni z innego świata, a on z innego; na nich inne otoczenie działało, a na niego — inne. Ludzie z dwóch krainołów! W duszy smutek, łal i gniew... Takich wrażeń doznawał, a potem wychodził z głębokim poczuciem swej odrębności klasowej.

— Oż tam widziałeś, kogo drogi? — pytała męża małżonka zaciekawiona. Gadajże przedziś..

— Ełt Co widziałem! Nic szczególnego...

— Ależ przeciel. Co tam na obiad było?

Wyszczególniał jej potrawy wyszukano, a ona słuchała z zadręgłością, nieświadomą siebie. W miarę opowiadania, rozpogadzała się dusza Żurby, pierzchało gdnies rozdrąnienie.

— Ściągnął mnie za rękę z potrząśnięciem — zwierzał się, ociągając.

— Kto? Podkomorzy.

— No, tak! A kóżby?

Rada była, że jej możowi ściągnięto „z potrażnieniem“ rękę, która dochodu dwadzieścia tysięcy „dała“.

— Ożego się cieszyć? Ważna rzecz! Potrzebny im jestom...

— Tak, kochany, ale... zawsze to dobrze względy mieć u pana...

Mówiła w ten sposób, bo miała czworo dzieci i chciała by im różami wysłać drogę żywota.

— Tobel Względę... Łaska pańska na pstrym koniu jedź...! Miałem ja stosunki z wielkimi panami — czuwały się, podając lewe ramię naprzód za każdym stąpieniem i pykając z cybuchu.

Z dawniejszymi nalogami nie pozostał się Żurba, lecz jeszcze go więcej rozwinął. Teraz, jak i dawniej, czerpał wiedzę z dwóch ksiąg, starych swych towarzyszek: z „Lekarska wiejskiego“, zesłowiecznego wydania, i z „Technologii“. Leczył chłopów od chorób żołądkowych ziolami, od reumatyzmów, nabytych w czasie koby na błotach cunabnych — roztworami komforowymi. Najwięcej przyciągał do siebie ludzi tajemnicą leczenia wsieciokizy. Chłopi, ukazani przez psa wsieciokiego, wilka lub kota, stroniłi od szpitali, gdzie im boleśd sprawiano wypiekaniem ran, a zwracali się do Żurby, który im udzielał proszków, robionych z bulwek trędowatka, ziela „na miodzik“ wykopanego. Wypisywał przymtem na opłatk lub skórze od chleba jakies wyrazy tajemnicze z krzyżkami i dawał do spokoja. Żaden z chorych nie cierpiał

już potem na wodowstręt. Raz przyszedł doń wybladły, zbolaty chłop i, padłszy do nóg, wyl:

— Panie, sokole, gołąbku, ojcie! Syn mój umierał... Pies go wsiecielił pogryzł, więc teraz pianę z ust toczy i łbem o ścianę i podłogę tłucze... Ratuj, ojcie, gołąbku! To mój jedyny... ma dwadzieścia czterech lat... Co zechcesz, dami... Oszkocze ciębiel..

Wyl, ciesz się nog i szlachol.

— Któs ci winien, głupi czelu! Oszkoczęż wosezniej nie przyszedł? U was chłopów zawsze tak! Złwiekacie, a potem bieda!

— Paniel! Wszystko oddam — mienie całol, Ratuj... Macie to...

Wymawiał z zanadrazą wszystkie, jako miał, pieniądze.

— Aha! tak! ratuj! Ot lepiejbys był wosezniej przypomniał mnie sobie. Weż pieniądze, niepotrzebne mi są! Dam lekarstwo, ale żeby łaski skonal.

Chłop skonał — było jedynym wypadkiem śmierci w praktyce lekarskiej Żurby.

Czytanie „Technologii“ rozogniało jego wyobrażenie. Najbardziej jej rozwinięty w kierunku technicznym. Otrzymawszy odpowiednio wykształcenie zawodowe poświęciwszy się mu całkowicie, mógłby wykaztolić zdolności wynalazcze. Szczę-

SPRAWY EKONOMICZNE.

ŁÓDŹ — SOSNOWICE I MOSKWA.

Ozłonek moskiewskiego Towarzystwa załęty przemysłu i handlu p. Szarapow zwiędził umyślnie okrag przemysłowy Królestwa a wyniki swoich badań i spostrzeżeń wygłosił w odczyty, później zaś wydał w oddzielnej broszurze p. t. *Dla czego Łódź i Sosnowice zwyciężyły Moskwę*.

Antor zebrał wiązankę doędy ciekawych materyałów i wysnuł z nich wnioski, często bardzo słuszne, ale niekiedy nasadnio nie doostatecznie lub niewłaściwie. Już sam punkt wyjścia rozumawa następa pewno wątpliwości. P. Szarapow twierdzi np., że kiedy współzawodnictwo wewnętrzne przechodzi pewne, normalne granice, jedna ze stron konkurujących posiadają musi przywileje, druga zaś ponosi szczególne ciężary. Tymczasem, jak to zresztą sam później ubocznie wyznaje, przy jednakowych, mniej więcej, formalnych warunkach jedna strona zwycięży może drugą za pomocą naturalnej przewagi ogólnego poziomu kultury, energii, wydokonalności techniki, oszczędności itd. Nauka ekonomiczna wdziczaną byłaby niezmierzenie współpracownikowi *Rusi* za wskazanie *normalnych* granic współzawodnictwa, dotychczas bowiem sądzono zwykle, że ustanowienie norm ogranicza wszelkie współzawodnictwo, czyli, ściślej mówiąc, znosi je w zasadzie.

Niewłaściwie również wybrał autor przykład „niezdrowego” współzawodnictwa, gdyby bowiem znał lepiej warunki przemysłu żelaznego w Rosji i zechciał spojrzeć na mapę Cesarstwa, nie dąrzyłby się weale, że w niektórych guberniach środków żelazo polskie wałazy zwyciężyć z uralskimi. Gubernie te bowiem leżą w tej samej prawie odległości od Królestwa i od fabryk uralskich, ułatwione zaś komunikacje poszwały wytwórcom tutajszym sprzedawać towar taniej, ponieważ kapitał ich obraca się kilkakrotnie, gdy tymczasem transport żelaza z Uralu odbywa się tylko raz do roku. W kosztach przewozu nie może być wielkiej różnicy, jeżeli wzywamy, że polskie żelazo idzie zwykle pod postacią wyrobów gotowych, lub pół-wyrobów. Ten sam wgląd tło-maczy nam również, dla czego przedzą sosnowicka i łódzka dochodzi aż do Mo-

skwy, bo przewóz pół-fabrykatu wypada taniej nabywcom tamtejszym, aniżeli przewozu surowej bawelny.

Jest tedy widoczne, że albo p. Szarapow nie zbadał dokładnie sprawy, o której pisze, czego nie przypuszczamy, albo też pojęcia jego o prawidłowym współzawodnictwie mają czysto miejscowy, specyficzny charakter. Niedziworem i nieonor-malnym jest taki stan rzeczy, który przypisuje a straty kieszon kupców i przemysłowców moskiewskich. Jakkolwiek więc autor oświadcza, że nie występowaby przeciwko rozwojowi bratniego narodu, gdyby przemysł Królestwa był polskim, jędytując mu za to żywociłe zapewnienie, rozumiemy bardzo dobrze, że właściwie idzie tu o to tylko: czy zrobi z nas kneble Schultze, Miller i Comp. czy też, a u natural” spożyje nas p. Kofupajez.

Jest wszakże w broszurze p. Szarapowa jedna strona, na którą powinniśmy zwrócić baczną uwagę — mianowicie stopniowe niemożenie zachodniej części Królestwa. Na tym punkcie łatwiej przyjąć do porozumienia, bo jest to dla nas sprawa tak ważna, że za pomyślenie jej rozwiązanie odalibyśmy i dobrodziejstwa rozwoju przemysłowego i nadzieję sześciu współzawodnictwa z Moskwą. Najad niemiecki przybiera coraz szersze rozmiary. Dane, przytoczone przez p. Szarapowa, świadczą o tem ymownie, jakkolwiek autor kładł nieraz zbyt silne barwy i dla efektu brat rozbrat ze ścisłością. W Łodzi znalazł on np. jedną tylko polską fabrykę, w Sielcu i Sosnowicach kilka, robotników zaś uważa za Niemców. Wiemy o tem, że tak nie jest, ale dla nas to właśnie podrażnia, to upośledzenie żywociłu polskiego w przemysłu, niewywołane względami konieczności, ale przeprowadzone systematycznie, jest bardziej może oburzającym, aniżeli kolonizacya niemiecka.

Ciekawy jest opis rozwoju Sosnowice, które z szybkością właściwą chyba stosunkom amerykańskimi w ciągu lat kilku ze zwyciężaj osady wyrosły na wielkie miasto. P. Szarapow opowiada, jak najpręd sprzedał kopalnię udużoniomom, jak potem przeniosły się fabryki, jak chętnie witały Niemców władze miejscowe, które, (np. naczelnik powiatu) prowadziły nawet urzędową korespondencyę z nimi w ojczystym ich języku. Fabrykantom Niemcom wolno było robić, co się podoba, nie istniała dla nich żadne przepisy administracyjne i prawne. Dopiero w ostatnich czasach zmienił się taki stan rzeczy, ale Niemcy znie-

renili się tak silnie, że energia władzy spotyka trudne do przezwyciężenia przeszkody. Polityka celna pośrednio wywołała napływ obcych żywiłów, wtedy bowiem Niemcy przeniesli fabryki swoje do Królestwa. Czynienie, ale trafnie nieraz odzywa się o tem autor niemiecki F. Dornburg redaktor *National-Zeitung*: „Sprzążaj zakładaniu na swojej ziemi naszych fabryk nazywa się u nich polityką narodową. Ale do kogo należą te fabryki, kto je prowadzi? Dyrektor, zarządzający, majstorowie — Niemcy. Rosyjanin (lub polak) stworzony jest tylko na robotnika i zostaje nim wiczenie.”

„Jest to dla nich, rozumie się, nieprzyjemnem. Wybaczyć, przećwiczyć się oni wielkim narodem! Ale niech co chcą mówią ich Kątkowy i Aksakowy zostaje im do wyboru, albo być europejczykami, a wtedy my im jesteśmy potrzebni, albo otwarta droga do Azji, *dann gute Nacht Russland*.”

Niemiec ten wypowiedział otwarcie to, co myślał jego współrodzacy. Ale jeżeli Rosji wspaniałościom ofiarują pobyt w Azji, nas bez żadnych względów po prostu przeszczajają na polarcie.

Nie „przeszczajają” prawodawstwo Królestwa, nie różnice w opodatkowaniu fabryk — bo te w porównaniu z ogólną sumą obrotu znaczą nie wiele, nie zła wola „wiecznych fantastów i frazeologów” — polaków, podtrzymują i dopomagają do rozwoju przemysłu niemieckiego. Władza państwowa polżyła lub polżyły zamierza kres dalszemu niemożeniu kraju, do którego w znaczej mierze jak wykazuje p. Szarapow, jeżeli nie przyczyniała się świadomości, to przynajmniej dopomagała bezwiednie.

Czy jednak błędy poprzednie dadzą się odrobić, czy asymilacya ludności napływowej niemieckiej jest możliwą? P. Szarapow pytania tego nie porusza, dla nas ma ono jednak niezmierzną wagę, chociaż w dzisiejszych warunkach możemy dać na nie tylko przeczącą odpowiedź. Niemcy nie mają nawet potrzeby uczyć się dzisiaj innego języka; znajomość polskiego, ograniczonego do cianej bardzo sfery, nie jest im potrzebna, rosyjskiego zaś potrzebna tak rzadko, że nauka je przedstawia bardzo małe korzyści. Dla stosunków handlowych wystarczy kilkudziesięciu agentów, dla porozumienia się z władzą — przykład ludności miejscowej, która również języka rosyjskiego nie zna, jednakże rozkazy odbiera i wykonują, prosby sążsne i otrzymują na nie odpowiedzi. Spo-

gólnie zajmowały go wielce wszelkie przetrwone substancji roślinnej. Żywność części drzew szpilkowych nadawały się najbardziej do tego. Technologia przemysłu leśnego poczuła Żurba, że z odzinków sosnowych i wierzchołków smolnych w krajach, mających wysoką kulturę, wytwarzano, prócz smoły, jeszcze i terpentyny. Wyuczył się więc tak doskonale sposobu urządzania smolarni, że zrobił model i ułożył kosztorys materyałów budowlanych.

— Ależ, panie Żurbo, to caako prawdziwe — unosił się dziedziś nad modelem. Ani mi w głowie powstało, żebyś pan zdolny był do podobnych rzeczy! No, no... Cacko!

— To caoko, panie podkomorzy — tło-maczył Żurba z twarzą rumieniającą się i okiem palającym — gdyby wolle niego zbudować smolarnię, dałoby panu wiele dochodu...

— Tak pan sądzisz? Na czym to opiera się?

— Na wielu rzeczach. Najprzód w lasach pańskich znajduje się nieprzebrana masa pniów sosnowych, powtórę smoła jest dziś rzadkim towarem u nas bardzo jej poszukują w stepowych częściach kraju, prztem wyrób leśny ciągle trwa i przyspiera coraz więcej pniów.

Dziedziś z zajęciem słuchał.

Tegoż roku jeszcze sprowadził sobie Niemca-chemika, Gunsta. Ten mu smolar-nie budował. Niemiec miał dużo wiedzy, umiał chodźć około retoryki, lecz nie był biegłym w technice. Ciągłe mu coś się psuło.

Był jednego dnia wiosennego wieczór uroczy, gdzieś na kopcach bagien zórawie grały swoje „kirył-rył” droid smętneńm ówierkaniem żęgał czerwona i wielką tarazę stołna, kryjącego się za grzbiem siebie, ligawka pastusza wstrząsała wspomniale łosem. I z Żurba przypłył na uroczystości otwarcia smolarni. Panów aśród polski leśnej gmań jej, najosąj kadmią i kominem, owinięty spłotami rurpreróżnych. Stęły tam na pietrach łirków, na których sterczały rury, zakacone „amiąją” do wypuszczania zbytniejści pary, w innych kadziach chłodziły się w wodzie wętownice do skraplania terpentyny. Gmach ukręwał w sobie mur, a w nim chwały cylindry żelazne do łuczyna. Nala-dowano je, dym czarny zakłębił się z kominą — z ust rzemieślników, i wyrobni-łom wypadł okrzyk podziwienia: aal patrz, patrz! Dziedziś uścisnął rękę Gunstowi. Chłopi gwarzyli:

— Patrz! Sznatanka sztnak! Nie zbliżaj się w noey do niej — bies się opęta...

— Bóg wie, co z tego będzie, pewno nie-szczęście...

— Gdzie się podziłaj nasze dawniejsze smolariki?

— Pokryją się lasem, ta trawą...

— Myślisz, że nasz brat potrafi co w tej fabryce?

— To ci głupi! Naszego brata choroba tam spotka — ta niemoc ciężka.

— A wszystkiemu winien Niemiec...

— A nie zdjejmą cię kolki, plucho dys-belski!

Nie radzi byli nowości. Minęło sporo czasu, a smoła się nie ukazywała, para zaś rozsiedziła litrówkę, kalezącą ciężko robotnika.

— Pękło! — krzyknęli chłopi. To nie-czysty duch — uciekajmy!

Robota ustala. Za drugim razem znowu się nie powiodło Niemcowi. Od nagroma-dzonych gazów wyolndra pękła „zasuła”, zamykająca otwór, którego łucznoy wkładano. O mało smolarnia się nie spaliła. Wtedy Zazorski odprawił Niemca, a Żurba powiedział: „Namówiłeś mię, teraz sam radź! Zawrzał w duszy Żurba. Ubłó go ton mowy chłobowady, uczuł się skrzyw-dzoną, więc odpowiadał tak:

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY KRAKOWSKIE.

18 stycznia.

Odczyt p. Rogozińskiego. — Wykład ka. Chotkowski-
go. — Towarzystwo św. Łukasza.

Zdawało się, że odczyt p. Rogozińskiego o podróży do Afryki, który odbył się dziś po południu. Sala posiedzeń Rady miejskiej przepełniona była publicznością, szeregów powozów czekały na ulicy. Od czasu wykładów prof. Stanisława Tarnowskiego nie pamiętam podobnego tłoku. Ludzie najłepszego towarzysztwa nie żalowali trudu, by dowiedzieć się o kameruńskich górach. Pod szczególną gwiazdą urodził się musiał p. Rogoziński. Bo ileż to razy ta sama sala, wypełniona na jego przyjęcie, świeciła pustkami i wiela chłodem z niezajętych krzeseł ku powąsył pracownikom nauki, mężom nieustraszonej myśli i wiedzy. Silne oklaski powitały zjawienie się prelegenta, który rozpoczął ożydła opis swej podróży głosem dzwicznym i oichym. Zaczęwszy od wyjazdu z portu Havre, przedstawił całą podróż wiedzącą ku Fernando-Po wzdłuż zachodnich brzegów Afryki szosogłowo, zdał sprawę z wycieczki do assinijskiej monarchii, której potężny władca 108-letni starzec przyjmował go z gościnnością; jaka chyba kwitnie jeszcze w Afryce; daleki powiódł słuchaczy na swej *Luzji Malgasczce* w dalszą drogę po Oceanie, a ostatecznym *) osiągnięciem po licznych walkach z trudnością, była kameruńska kraina. U stóp wspaniałych gór, pokrytych gęszymi lasów, potężną podróżnik siłachował opism ogólnym podzwrotnikowych obszarów i zaszła z katedry odprowadzony burzą oklasków. Odczyt był bezprzebieżnie zajmujący nowością przedmiotu i barwą treści. Jako utwór literacki nie przeszedł jednak wartościowo zachowanych a głębi okoliczności, jakie ukazują się w piśmie. Tu i owdzie tylko przebiegł epizod pełen świeżości i wdzięku, opowiedziany z prostotą, i okraśli całość, stanowiącą raczej szablonowy dyaryusz zewnętrznych wrażeń, niż tre-

*) Celem ostatecznym miało być pierwotnie zbada-
nie jezior Liba. (Red.)

ściwą charakterystykę obyczajów, życia i pojęć mieszkańców Afryki zachodniej.

Dienniki krakowskie — w pierwszym rzędzie *Czas* — wyniosły pod niebiosą wartość naukowych zdobyczy p. Rogozińskiego; spodziewać się gozdiło, że odczyt będzie szczegółowym poparciem tych zapewnień; tymczasem ani jednym słowem p. Rogoziński nie rozjaśnił tajemnicy przywiezionych skarbów wiedzy. Zapewne dopiero po opracowaniu notat i zebranych materiałów obdarzy nas całą ich pełnią — dziś podzielił się tylko wspomnieniami smutków i uciech **).

Wiele już sądów wydano o tym odczytku: wliczono go laurami, wymianiano, darzono pogardliwym wzruszeniem ramion, oceniano go jako obywatela, pracującego dla ojczyzny, ale nazywano go zarazem awanturnikiem. I w jednym i w drugim wiele przesady — najlepiej odmawiał się sam dzielnik, przynajmniej otwarcie, że goi kameruńskie były jego idea życia, że sudi o nich na ławach szkolnych, tęsknił na pokładach okrętowych, wyrwał się z kraju, z dziełem, uroczystym biem serca rachował chwile, dzielił go od upragnionego spełnienia marzeń. Musiał koniecznie pograć się w objęciach tych gór dalekich — podobnie jak artysta musi wiedzieć na płótnie swe pomyśli, lub jak zagorzały antykwarjusz musi mieć w swych zbiorach cacko Benvenuto Cellini. Kamerun, to jego namietność; przynajmniej się do niej otwarcie — tem chętniej mu się wiera, że ani cienia przeświadczenia, ani drobny blagi próżności nie było w jego opowieści. Jest to objaw należący do dziedziny psychologii — wobec niego na drugi plan sejda powinna sprząść odobrem lub złom jego obywatelstwo i śmiałość musi przepadła w udziale tym, co widzieli w jego wyprawie rodzaj posłannictwa w imię nauki i prawdy.

Diem pierwiej inny odczyt zwrabił nie-dzielną publiczność do sali Muzeum techniczno-przemysłowego. Prelegentem był ka. prof. Chotkowski, klerykalny Don Kiszot Kola polskiego w parlamencie austriackim a mity sercu krakowskiego wstecznotwa kanoziedzia. Sprawozdanie odczytu tego, który za przedmiot miał *Chrest Listy*, rozpoczął *Czas* słowami: „Tutejsze Towarzystwo oświaty ludowej zainaugurowało-seg wykładów popularnych dla ludu żyjącego i pracującego tu w mieście, któremu wykłady owe i potęga żywego słowa wie-

*) Była to też główna zdobycz wyprawy. (Red.)

łeczność polskie znowu nie posiada żadnych środków asymilacji żywiołu napływowego, owzem znajdując się nawet sławianoile — jak np. p. Łamanskij, który sądzi, że dla interesów Rosji korzystnym jest — zniesienie Królestwa.

Przemysł niemiecki w walce współzawodniczej posiada taką przewagę, jakiej żadne przepiały dla strony przeciwnej nie wytworzą. Na pierwszym planie stoi kredyt w porównaniu z rosyjskim bajecznością. Dalej naturalne warunki kraju, pomyślnie w równej mierze i dla przemysłu polskiego, mianowicie bliskość kopuły żelaza i węgla. P. Szarapow zalicza jeszcze do warunków sprzyjających taryfy celne i kolejowe. Te ostatnie ułożone są w ten sposób, że przewóz towaru z Warszawy do Moskwy kosztuje taniej, aniżeli np. z Moskwy do Kijowa. Nie ma sporu, że taki system taryf przewozowych jest nieulicznym, ale zadanie przemysłowców moskiewskich, żeby przewóz z Warszawy do Moskwy kosztował drożej aniżeli odwrotnie, bardziej jeszcze zasługuje na to miano. Dyferencyalne opłaty celne, które zapewniły przywilej miejscowościom oddalonym od granic z punktu widzenia państwowego nie mają żadnej racji, domagają się ich może tylko *polityka narodowościowa*. Zmiany te dotknęłyby również przemysł polski, który, bądź co bądź, istnieje przeciwie, dla tego to właśnie zaznaczyliśmy powyżej, że ekonomiczna strona tej sprawy sprowadza się propositu do współzawodnicztwa dwóch apetytów. Sądzę, że dla przeznaczonego na strawę jest to najzupełniej obojętne.

Nie należy więc prądu tego, którego wyrazicielem jest p. Szarapow, kierować na nasz myślny, jak to uczyniły niektóre pisma, bo właściwie przebiega go jeden tylko strumień, który poruszył może nasze kolo. Kiedy autor wkracza w dziedzinę polityki, możemy zgodzić się i podpisać jego wnioski, oraz skorystać z pouczających wiadomości, jakie zebrał skrupulatnie. W sprawie ekonomicznej zaś broszura p. Szarapowa pouczająca jest dla nas, że tak powiem, podwójnie.

J. P.

— Przedstawiłem panu model i kosztorys. Przejrzano mi zdolności pod tym względem. Pańska to wina, że zamiast mnie wzwądo do szubownia smolarni, sprowadzono niemca.

Dużo go kosztowało, gdy to mówił. Wzruszył się i usta mu drżały. Słowa wypowiedział jednym tehem.

Wziął się jednak do roboty i po swoje-mu urządził, zaglądając często do nieod-laczego poradnika swego, do „Techno-logii“ w zielonej okładce. Nie zawiódł dziadzio, smolarnia dobrze działała. Z dniem każdym rosły regły beczek ze smolą i butle z terpentyną. Siła jakaś popychała tego człowieka, iłokród do zajęcia jakiegoś się zapragnął. Pijak, gdy raz usta przytknie do nozpręża z trunkiem, nie oderwie się, nie nieprzytomny padnie. Tak samo Żurba w pracy. Leniwy był i rad okładał, nim się jął roboty, potem ciągnął do końca, nie odrywając się — duszkiem. Gdy smola z cylindra zczywała ciec dolnemi i gór-nemi rurami do kadzi, a terpentyna, sącząc się z węglowem do odbieralników, wyda-wała dźwięki usypiające i powietrze prze-pięciło się dusząco-orzeźwiająco, wniósł spirytnu drzewnego, był w swoim żywiole, nozdrza mu wtedy rozdziły się.

Nocno godziny najniebezpieczniejsze są w pędzeniu smoly. Jestto chwila, gdy gazy

najbardziej się naprężają po rurach i ka-dziach, wtedy baczność wielka być musi, bo z niedozoru smolarnia łatwo w powie-trze mogłaby wylecieć. W takich razach Żurba czułwał nocami, odpędzając sen her-batą i fajką. Zjawiał się w smolarni, jak mars, i budził znużonych robotników. Nie zważał się jednak na nimi, w geby nie bił, tylko góral lub hajal. Za to iłokród zdyl-bał któregoś w miejscu, gdzie zapalnych rzeczy było dużo, z fajką w ustach, wyrwał mu ją gniewnie i cisnął do kadzi wo-dą. Kilka razy zdarzały się wypadki. Raz para wyszłała zatyżkę z litrowki. Rant był tak silny, że trafiwszy w przełocie ro-botnika, dREWNO owo rozszarpało mu mie-się na ręce. Kiedy indziej znowu rura pę-ka, a Żurba, biegając szybko po schodach stromych, zatyżcił się i stłukł sobie głowę w upadku. Odtąd zono jego, gdy smolarnia była w ruchu, nie opuszczała trwoga, roz-strajając jej zdrowie wątłe i często sen spędzając z powiek.

Chłopotem potrzebne były pieniądze, więc wrybalił luzowio. Ciężka to jest robota. Musieli najprzód wykopywać pie, mocno trzymające się korzeniami w ziemi, i pod-ważyć je drągami. Przy tem wszystkie mięśnie pracowały, trzeszczały kości pierś-jki wydawała. Na trzy łokcie sześciennę — czasem dwa, a niekiedy i więcej

pnów wyrwał i polupał potrzeba było, za co tylko rubla dostawali. Żeby więcej wy-szło łokci, układali luzowio w „szury“ rzadko, nie ugniatając, sprótnia wewnątrz. Żurba przed wydaniem kwitu z odbioru sprawdzał. Nie zadawał się obejrzeniem z wierzchu, lecz trzął kijem w „szurę“, luzowio się zapadało, ukazując otwory. Chłop musiał na nowo składać w obecności jego. Nieraz z trzech szur zaledwie na dwie starczyło. Obłopi skrobali się w głowę i próśli o zlitowanie, obiecując podarunki k, jur, jak itp.

— Toś przecie grzech tak robić! — od-powiadał im. Sromu nie macie!.

Rzadkich mót człowiek!

Wtedy nie stało już starego dziadzio, pana podkomorzego. Kości jego prchniały w grobach rodzinnych, pod kapłą pa-tacową. Żurba służył jego synowi, mar-szałkowi szlachty. Był to człowiek nie go-spodarny, marnotrawca dobra dziedziozno-go. Co robił? Dobral podobnych sobie „dziadziów“ i marszałkował im w hula-tykach, grze w karty i rozpusty, a na ma-jątki narastały długi.

(D. c. n.).

Z. (Komas) Pietkiewicz,

le pożytku przynieść mogą. Tak więc towarzystwo oświaty, stworzone przed parą laty pod hasłem kształcenia i rozwijania ciemnych warstw ludu — rozpoczło nową fazę swej działalności na wkrótce wyznaczoną, moralną tendencją.

Cała niosąc tę rzekomej pracy dla ludu zapaśnięcie musiała wobec szczególnego zbiegu wypadków, iż w tej samej sali przed kilkunastu laty odbywały się wernisyse przez wiele niedziel, z rzędu odczyty innej natury. Zorganizował je twórca nowożytnego założonego Muzeum, dr. Adrian Baranicki. Były to wykłady bezpłatne z zakresu nauk tak pozytywnych i potrzebnych, jak: fizyka, chemia, wynalazki, sztuka zastosowana do celów przemysłowych itp. Okazy i przyrządy należące do zbiorów Muzeum służyły do objaśniania tych popularnych pogadek, które znajdowały zawsze mnóstwo ciekawych słuchaczy pomiędzy rzemieślnikami, ludnością przedmiejską i młodzieżą szkolną. Te tradycje godziło się wznowić Towarzystwu oświaty — nie zastępując jej pobieżnymi pogadankami na temat wspomnianego niepewnej i obojętnej dla dzisiejszych biedaków przeszłości. Ale Towarzystwo dawno już zmieniło się z pierwotną swą myślą, dziś chce ono tylko gurgnąć wodę na młyn ultramontanistyczny.

Wiadomość o rozwiązaniu się Towarzystwa św. Łukasza przystaje w tem, że żyłowy jego przedłożony został, gdyż nieliczne, bo z kilkunastu osób złożone walne zgromadzenie uchwaliło nie dozwolić na zlikwidowanie. Wszyscy wybitni członkowie dawnego składu cofnęli się. Ale Towarzystwo żyć będzie, bo potrzeba tego dla chwały kilku panów, którzy przesiadali do towarzystwa i komitetów należałemu — a z upadkiem św. Łukasza ubyłaby im jedna z tego sposobności.

W. P.

LITERATURA I SZUKA.

Józef Siemiradzki, **Z Warszawy do Równika**. Wspomnienia z podróży po Ameryce południowej, odbytej 1832—3. Warszawa 1886.

P. Siemiradzki zwiedził w towarzystwie Sztolomana i opisał niektóre okolice południowej części Ekwadoru; przedtem zaś, oczekując towarzysza podróży, poświęcił kilkanaście dni i kilkadziesiąt stron swojej książki na obejrzenie i opis Martyniki. Dwa te opisy stanowią też główną treść jego *Wspomnień*, po za tem posuszają tylko ulotne wrażenia — z okien wagonu lub na pokładzie okrętu odbierane i notowane.

Wylądowawszy w Guayaquilu (Ekwador) autor posuwał się nieustannie ku wschodowi — na odległość mniej więcej mil 30 od brzoźg oceanu Spokojnego, zbaczając z drogi swej już ku południowi, już w kierunku północnym. „Mapa południowej części Ekwadoru,” załączona przy książce, wykrośla w głównych zarysach drogę przebytą i oznacza — choć niebylebzt dokładnie — zwiedzone przez autora miejscowości. Znaczenie głównych drogokazów mają tu następujące miasta i osady: Guayaquil, Jaguachi, Alausi, Riobamba, Bannos i Mapoto. Tak więc minąwszy niekieś stosunkowo pomorsze (Guayaquil-Jaguachi) p. S. wkroczył w okolice goryste, dotarł aż do najwyższej linii rozdziału wód (Riobamba-Bannos) i dalej aż do wschodnich stoków lanchucha Andów (Mapoto), skąd rzeki spływają już do oceanu Atlantyckiego.

Wiadomości czysto przyrodniczych nie oddzielił p. S. w opowiadaniu swem od wrażeń turysty, od spostrzeżeń z zakresu etnografii, antropologii itp. Dla tego też książka jego ma charakter malowniczy,

ale bezładny panoramy widoków i wypadków: umysłem zwykłych czytelników dostarczy ona wielu bardzo przyjemnych wrażeń, z pomiędzy których mała tylko liczba z należytą zachowawą się jasnością; wszystkie inne utworzą w głowie profana mły chaos — coś nakształt przypominania niewyraźnych złudzeń haszasyzu. Uczony — jeśli prace p. S. weźmie do ręki, z trudnością będzie musiał wylawiać z niej fakty mniej znane lub bardziej charakterystyczne. Przrydnik — nie znajdzie tam nic nowego, odczyta zaś w pamięci niejedno (obyczajowe zwierząt, opisy roślinności lasów dziczyznych, naderważyście zaś parę notatek z zakresu geologii). Więcej ciekawego materiału doszukać się tu może etnograf i socjolog.

Malowniczo opisy obrzędów i wierzeń religijnych miejscowej ludności rzucają jaskrawe światło na proces wzajemnego „przenikania się” dwóch religii — starej i nowej, wyższej i niższej; z drugiej strony nieka obyczajowości, granicząca niemal ze zbydlęczeniem, obok żarliwości religijnej episypanych ludów, może dostarczyć pewnych wskazówek osobom, badającym odnośną sferę stosunków (np. wpływ religii na moralność itp.). Ujawnienie (ekonomiczne) i wyzyskiwanie niższej rasy przez wyższą pozwala znów socjologowi przyrzedzić się z bliska sprawie wytwarzania się „szlachetnych” i „niższych” klas społecznych.

Gdyby p. S. — wzorem np. Rehmanna — zechciał poświęcić osobną i lepiej uporządkowaną część pracy stosunkom etnograficznym i społecznym Ekwadoru, oddałby tem naszemu piśmiennictwu bardzo znaczne usługi. Materiał bowiem jest tam więcej, niż obfity, autor zaś posiada wiadomości dość wielką zdolność spostrzegawczą. Przy takiej więc nawet skali naukowego przygotowania, jaką p. S. się odznacza, mogłoby on dla przyszłych socjologów i etnografów naszych cenny zostawić upominek.

Wartość książeczki podnoszą ilustracje, wykonane przez pp. Ryszkiewicza i Owidziego; niektóre z nich są prawdziwie piękne; inne — jakkolwiek mniej warte pod względem artystycznym — pomagają jednak nie mało do zrozumienia treści.

Stronie zewnętrznej *Wspomnień* p. S. zarzucić można brak starannego wykonania i obfitość racyonizmów. Po za tem język odznacza się nawet barwnością i życiem.

J.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż, 15 stycznia.

Literatura i krytyka szkoły naturalistycznej. — *L'oeuvre* Zola. — *Tartarin sur les Alpes* Daudeta. — *Novela* Guy de Maupassant. — *Nowa powieść* Bourgeta i nowe jego szkice krytyczne. — *Les contemporains* Julliana Lemaitre'a. — *Memoires d'un jour d'hui* Roberta de Bonnières. — *Katedra* Rewolucji francuskiej. — Teatr ludowy.

Szkola naturalistyczna zajmuje wciąż najwybitniejsze stanowisko w literaturze francuskiej. Zważ by ją raczej należało naturalistyczną, pisarce bowiem tej grupy nie trzymały się bynajmniej ślepo „naturalistycznego” wyznania wiary, określonego przez Zola, a i sam mistrz sprzeczniowierzał mu się niejednokrotnie, w ostatnich zaś swych utworach pożył się zupełnie prawu szkolarskiego doktrynarystwa. Jeżeli przymtem weźmiemy pod uwagę różnicę talentu i przekonania każdego z autorów, możemy jedynie powiedzieć, że literatura francuska ostatnich paru dziesiętnik lat rozwijała się w kierunku świadomości wy-

tkniętym przez Taine'a, trosząc się o dokładne wyświelenie psycho-fizjologicznych i społecznych warunków, w jakich występowały powieściowcy bohaterowie, o realne odzwierciedlenie charakterów i ich zewnętrznego otoczenia. Szkoła naturalistyczna trzymała się i trzyma niewątpliwie „natury,” przeciawiając ją „duchowi” od niej niesależnemu — i w tem tylko leży usprawiedliwienie nazwy, jaką przyjęła.

Jeden z mistrzów szkoły Gustaw Flaubert już nie żyje, uczniowie jednak gromadzą się o czoła i porządkują literacki po nim spadek. Wyszło właśnie świeżo cinkwitowe wydanie jego utworów w sześciu tomach, obok korespondencji i szczegółów biograficznych. Edmund de Goncourt, po wydaniu w r. 1834 powieściowej swej monografii *Chérie*, przestał pisać, a raczej tworzyć, pracując bowiem nad pamiętnikami literackiej epoki, która dziś ma się już ku schyłkowi, obdarzył jednak piśmiennictwo dziełami niepospolitego artysty i głębokiej analizy. Emil Zola wciąż zajmuje stanowisko naczelne potęgą swego talentu i bystrością spostrzegawczą. W drukującej się właśnie ostatniej swej powieści, *L'oeuvre* (Dzieło), jakby przezwyciężając, że zbliża się rumiany zachód reprezentowanego przezeń kierunku — co ma być w pieśni zaginąć winno w rzeczywistości — daje nam artystycznie odzwierciedloną genezę tego zwrotu, który narodził się we Francji za cesarstwa. Bohater *L'oeuvre*, Klauzyus Lantier jest rewolucjonistą w sztuce, w malarstwie, jak Stefan Lantier z *Germinala* był rewolucjonistą społecznym. Około Klauzyusa grupuje się cała gromada pokrewnych mu młodych duchów ze wszystkich prawie dziedzin twórczej działalności. Grono to żyje w ścisłej, bratniej ze sobą przyjaźni, burzy namiętnie stare tradycje artysty, nie uznaje żadnej powagi, nleagać chce tylko naturze i własnym natuheniomenom. Posłuchajmy zdań wygłaszanych przez głównego przewodnika bandy, Klauzyusa Lantiera. O malarzach dawnej szkoły powiada on, że są to „groszowi bagracze, powtarzający kradzione tematy, osły lub przewrotni, bijący czołem przed głupotą publiki. Ani jednego silnego chłopa, któryby wymierzył głosem polozek filistrów!” Po Ingresie, któremu przynależą pewne zalety, widzi on tylko Delacroix, mistrza romantycznego malarstwa, po nim zaś Courbetta — reszta to halastra. „Patrzcie — mówi do swych towarzyszy — na tego starego lwa romantycznego, jakie emiało zaciecieli! Oto dekorator, który miał zapalać tony! A co za reka! Gdyby mu pozwolono, samalował by wszystkie mury Paryża; palota jego gotowała się i przelewała na wszystkie strony. Wiem, że to tylko fantazmagorye... potrzebne jednak były, żeby spalić szkołę...” Potem pojawił się inny, wytrwały robotnik, najsrealniejszy malarz wieku. Courbet, realizm jednak jego, który wywołął taką wrzawę, polegał jedynie na wyborze tematów, mistrz atoli odzwiercał je jeszcze według przepiości starej szkoły. „Objaj oni, Delacroix i Courbet, posunęli sztukę naprzód; dziś zaś, dziś potrzeba jeszcze więcej. Czego? Sam nie wiem jeszcze — mówi Lantier — gdybym jednak wiedział, byłbym największym moczarnym sztuksu.

Nie okresla on sobie jeszcze tego jasno, czuje jednak, że w obrazach Courbetta brak powietrza, światła, brak zupełności realnego odbicia natury. W postaci Klauzyusa Zola nosobit smarłog już dziś przyjaiciela swego, Maneta, twórcę szkoły *de plain air*, „imprezjonizmu.” Siebie samego zaś odzwiercyla w postaci młodego literata Sandoza, przyjaiciela artysty nowatora.

W pysznem gwiazdkowym wydaniu wyszedł niedawno *Tartarin sur les Alpes* Daudeta. Tontze sam Tartarin z Tarasconu podróżował już za sprawą autora w 1870 r. po Algierze. Obecnie odbył wycieczkę po Szwajcaryi. Są to z niezwykłym hu-

morem opowiedziane przygody i zmyślenia południowca, przywykłego z natury okłamywać siebie i drugih. Książka, wydana przez Figaro, z licznemi doskonale wykonanemi ilustracyami miała ogromne powodzenie. *Aventures prodigieuses de Tartarin de Tarascon* wychodził owego czasu w edykcji Figara i nie zwrócił prawie na siebie uwagi; autor był jeszcze nieznanym. Dandet jest poludniowcem, zna więc na wylot swych ziemiów i umie opowiadać z niepospolita wprawą i zajecciem. Zapowiedziano już takto nową jego powieść *Une rupture dans le monde*, czas jednak jej ukazania się nie jest jeszcze oznaczony.

Niesłychanie płodny nowelista młodej szkoły Guy de Maupassant wydał świeżo nowy tom swych obrazków i szkiców p. t. *Monieur Parent*. *Gil Blas* i *Figaro* często pomniejszają większe lub mniejsze nowelki tego autora, który Eypie niemi jak z rogu obitości.

La Nouvelle Revue drukuje nową powieść Bourgeta, *Une crime d'amour*. Posiada ona zalety i wady poprzednich utworów beletrystycznych młodego krytyka. Ukazał się też niedawno drugi tom *Essais de Psychologie contemporaine* Pawła Bourgeta. O studiach tych krytycznych napiszę obszerniej. Uspielniają one rozpoczęte przez autora w tonie pierwszym obraz pesymizmu i eklektycyzmu, toczącego literaturę społeczną i wybitniejszych myślicieli naszego czasu.

Drugie miejsce w liście młodych krytyków francuskich obok Bourgeta należy być niewątpliwie Juliuszowi Lemaitre, krytyczno swe studia pomieszcza on w *Revue politique et littéraire*, obecnie zaś wydał je osobno, zebrane w jednym tomie, zatytułowanym *Les Contemporains*. Lemaitre stoi pośredku między Saint-Beuve'm a szkołą Taine'a. Nie bada on ściśle rozbiernego autora według wskazówek metody pozytywnej, często improvizuje tylko *à propos*, posiada jednak bystry zmysł obserwacyjny i sąd wyrobiony. Gdyby nie był eklektykiem o barwie nie dość określonej, studia jego wiele by na tem zyskały. W szeregach szkiców pisarzy społecznych Lemaitre zastręga na zaznaczenie charakterystyka Zoli i Ohneta. Autora *Germinala* przyrównywa on do... Homera i znajduje wiele dowodów na poparcie tego zestawienia. Epicki charakter utworów Zoli widzi krytyk w tem, że przedstawia on w grubych zarysach materialną przedwojenną stronę i ludzi, wskutek czego tryty występują z prymitywami jakąś siłą postaci homericznych. Na wzór greckiego barda Zola lubi również naciągać ogłębnie na jakąś szczególną materialną cechę charakterystyczną swych bohaterów, którą wbiła nam w pamięć. Natura przymtem u niego podobnie jak u Homera żyje i porusza się. Krytyk przypomina między innemi aszy Vorent w *Germinale*, który występuje jako dzika bestya, żyjąca i tucząca się potem i krwιά górników. Węglurze znowu ułobaszają niejako w swem wyobrażeniu złego ducha, władającego kopalnię z towarzyszącym akcyonem, która też czartowata własność posiada i eksploatuje. Porównaniem swojem Lemaitre wyświłcił niektóre strony talentu Zoli, co się jednak tyczy wartości tego porównania—to wydaje mi się ono więcej dowcipnem, niż słusznem.

Jeżeli jednak L. pisze o Zoli z całym uznaniem dla jego mistrzowskawa, to Ohneta odsadza zupełnie od wszelkiego rzeczywistego artysty. Jest to, zdaniem jego, fabrykant powieści i sztuk, robionych rzęcznie i ciążących się ogromnem powodzeniem dla tego, że są w zupełności zastoso-
wano do przeciętnych gustów zwykłej publiczności i nad nią niczem się nie wzno-
szą. Ohnet odbija najzupełniej wszelkie wyobrażenia filisterskiego mieszczaństwa, pochlebna mu i świat cały przedstawia w świetle jego pojęć. Wszystkie więc

w nim płaskie i ograniczone, nawet uczucie jest najzupełniej odczuć.

Pisząc o studiach literackich można nadmienić o *Memoires d'aujourd'hui* Roberta de Bonnières. Autor zyskał pewien rozgłos wydana w roku zeszytu powieści *Les Monach*, jako krytyk atoli żadnych zalet nie posiada. Jego studia literackie pisane bez należytej wprawy, przepłatane długimi cytatami z charakteryzowanych pisarzy, pozbawione są wszelkiej głębszej myśli i krytycznego zmysłu. Autor jednak podaje nam wiele, sakulowych nawet szczegółów biograficznych, dotyczących kilkunastu pisarzy społecznych i dawnych, z tego względu *Pamiętniki* te zasługują na przejrzenie.

Kronikę niniejszą zakończę wiadomością, że paryska Rada miejska uchwaliła wypłacać corocznie 12,000 fr. na utworzenie w Sorbonie osobnej katedry Historii Rewolucji francuskiej. Wykładać będzie p. Aulard, znany z *Lundis revolutionnaires* zamieszczanych w *Justice*. Utworzeniem tej katedry radykalna rada paryska pragnie przeciwdziałać upowszechniającej się dziś za śladem Taine'a tendencji przedstawienia pierwszej rewolucji w świetle wyłącznie prawnie umiorem.

Pod skrzydła rady miejskiej Paryża ucieka się jeszcze jeden projekt pp. Etievant i Richard, pierwszy dziennikarz, drugi autor dramatyczny, powzięli myśl założenia subwencyowanego przez Radę miejską *Teatru ludowego*. Projektodawcy powiadają, że dawno już myślano o założeniu rzeczywistej ludowej sceny, która by wolną była przesądów i konwenansów, panujących jeszcze na deskach teatralnych a obcych zupełnie ludowi. Przybytek ten dawałby dramata historyczne, utwory opisowe, obrazy z życia codziennego i stosunków społecznych, przedstawiające to wszystko w świetle wyobrażeń inteligentnego robotnika paryskiego. Kwestya *ludowego teatru* jest istotnie otwartą...

P.

Literatura czeska.

Wreblieky Jaroslav. Sonety Samotnika (Samotáře). Poezye. Nakładem J. Ottv w Pradze, 1885 r.

Autor w zbiorce tym, podzielony na 8 osobnych części, w pięknej nader formie wypowiada myśli i uczucia, kojarzące się z duchem czasu.

Jako ła w poranku zorzy złotej, chwieję się w głębiach ciemnych ziemia, gdzie ośrodek życia człowieka stanowi miłość, będąca jedyną prawdą; bo szczęście jest w przyrodzie jej chowa, ona bowiem jest przyrodzonym obrazem matki kurmielki, o której pieśń ludowa mówi, iż żył jako rzeka płyną, zmywając rany grotom nieprzyjaciela zadane (Arabsky motyw). Bóg, którego poznać możemy jako przez sztukę starożytnych synów Hellady, jest wiecznością, czuwającą nad snem niewielecia i wlewającą w matkę siły na ciężką walkę życia.

W części drugiej, zatytułowanej: „Okna malowane,” poeta przenosi się w wieki nawniej i zmysłowej wiary, kiedy to jedną ręką czyniące znak krzyża, drugą podkładał ognia pod stopy, mające pochłonąć ciała kacerzy i mniemanych czarowników. Różnobarwne okna starej bazyliki, zdobne wzorzystymi kwiatami, wijącymi się koło zadumanych postaci świętych, kąpią się w blaskach purpurowej tęczy. I morze światła oblało w kształcie tryptyku ołtarz gotycki, a odbijając się różowemi barwami na wybudnych obliczach ascetów, purpurą odkrył łabędzie pierś pokonującej Magdaleny, i w czasach o stopu nadobnej pokutni-

cy, dwa płonące jak dyamenty blaski słońca, zdają się wolać w przestrzeni świętego przybytku: miłość! miłość! miłość! (Rozmazy światła). Słońce ginące w ciemnych kłach mroku ostatniem plomieniem w różach okien złotą błysnęło zora, i na aniołach świętych ogień zapłonął, topiąc światygnię w morzu opalowym. Przez główne okno starożytnego domu księżyc zajął srebrzystym półkolem. To już nie światło miłości sąrem plomieniec, lecz blade w raczej promyki wiecnej i tkiwliłości na cierpienia braci, która widnieją nawet w łaach bohaterów, na płytach grobowych bade że spiza odłanych, bade z głazu wykutych. Gdy słońce, światło z jarażących świecy dymy kadzideł i hymny nspelnia bazylikę i organ potężnym zahucy gromem, wtedy zdaje się, że wśród szoszek oręża i zgrzytu łamanych kopii, porozwieszane za ołtarzem i pyłem wielok odkryte porpore znowa powiewają nad głowami zwycięzów. Nawet siwobrody starzec, mający przedstawiać Boga w obrazie sądu ostatecznego, uśmiecha się na widok róż kwitnących u stóp góry i gwarliwego zgłisku, zebranych na sądy aniołów i synów piekieł. Nie w hymnach jednok i gwiazdami tkanych szatach Madonny, tudzież w bladej licoach męczenników, lecz w wawrzynach, różach i płasch młodzieńczej zawsze Hollady, prawdziwi wro żywot. Chleb, który dawni pustelnicy za pośrednictwem cudownego kruska z niebios otrzymali, dzisiaj synom eremitom, tonącym w idealu prawdy i piękna, w twarzą zamienia się kamień (Prostrani okno).

Stuka jest sama w sobie colem. Poezya odpowiednia duchowi czasu—to jak liść wiecznie zielonego drzewa, pod którego cieniem, chłód nas błogi owionie, ptaszek w sercu znanoci i miły pokój zaświta (Co dobrą bade).

Poezya społeczna—to jak jaskółka, lępiąca sobie gniazdeczko nad tunelem, gdzie dym i nośa swiat pary i kłęby czarnego dymu nie pląsa kwilących ptaszk. Między czasami umierającego Chattertona, gdy wieczornie na podobieństwo cieni, przesuwali się przed obliczem społecznych; dziś jeno rozsądek zdrowy i dłoń pracownia, otwierają światygnię sławy (Poeta i świat). Lepiej chłodzić się w rzecze, niż stać pod słońcem z obakną głową (Pekelne wino). W „Nowych maskach i profilach” poeta wprowadza nas do pantonu wieśszorów świata, gdzie między innemi, rozpoczynając pochód od Homera, mówi o Mickiewiczie, iż imię jego w jedną spiza ośrodek rozproszone Skowian szczerzy. Nad bronzy i marmury, ktorými pamięć jego wiecznie namierzamy, on jako kołos mityczny w sercach naszych zapanował. Śpiew Mickiewicza, to kwiat lotosu, pełen wdzięku, piękna i siły, brzemiennej tajemnem przecuciem przyszłości.

Zadaniem pioniera jest, aby śmiało patrzeć w przyszłość, budował to, czego dotąd niewykono, bo świat żąda czynów, śmieszności okrywa sny i marzenia. Nagrodą też poeta jest wolność ptaka, który ginie w eterze...

Justyn Feliks Gajslar.

TEATR.

Bescební Angiera.

Utwory, oparte na głęboko odczutoj prawdzie, nie starzeją się tak łatwo i zachowują długo się żywota. Dowodem tego komedya Angiera *Bescební*, napisana przed dwudziestu kilku laty. Grano ją niedawno w Paryżu—na raz pierwszy w naszym Teatrze Wielkim, na poranku beneficyjnym p. Bolesława Leszczyńskiego, który ukończył 25 lat działalności aktorskiej. Do dziś dnia utwór Angiera pozostaje

stał świeżym, nie tracił ani trochę stęchłości. Chłozesze o moralny czynizm, rozpierający się śmiało na widowni życia, afny w potęgę i pieniądzą. Głównym przedstawicielem *Bezzwzględny* jest Vernouillet, spekulant giełdowy, który wydobyl się na wierzach za pomocą szczęśliwego oszustwa i ogrobiania akcyonaryuszów fikcyjnego banku. Pogardzono, kupuje następnie dziennik i staje się potęgą jako handlarz opinii publicznej. Używa on całego sprytu, aby wyjść na człowieka honorowego, oczyścić się w oczach ogółu, zyskać stanowisko męża szanowanego i polubić nadobną bankierównę. Zamiary te udają mu się, ale tylko w części, albowiem przetrząchnął się w robocie skandalizującej i sęgnął na siebie oburzenie.

Drugim bezczelnym jest Giboyer, pieszczonką określoną postać wojennego opryska dziennikarskiego, którą potem w osobnej sztuce Angier spotęgował i rozwinął. Człowiek ten ma zasady, wierzy w ideały demokratyczne, ale dla miłego grosza staje się najmiłą i fabrykantem skandalów. Zresztą znajdujemy tu cały szereg ludzi, którzy są w pewnej niezgodzie z kodeksem prawnym i obyczajowym. Bankier Charvier zrobił taką samą operację, jak Vernouillet, i używa spokojnie jej owoców wobec pobłażania opinii. Margrabina d'Auberiv zwiódła kiedyś swego męża dla młodego literata Serginea—a stary szlachetny arystokrata, nie chcąc rzucić plany na awa żonę a zarazem siostrzenicę, separuje się z nią i postawia swobodę pożytku z kochankiem. Związek margrabiny i Serginea cieszny się tolerancją. Ludzie ci nie są bezczelni, posiadają sztukę nadania pozorów, która tak wiele znaczy w stosunkach towarzyskich. Autor nie obchodzi moralnie tej ohyzajowej obłudy, ale wykazuje tylko nienaturalność położenia dwójki wykołejonych. W końcu sztuki margrabina ujmuje się za spotwarzoną siostrzenicę i godzi się z nią—Vernouillet dostaje odkosa. Sergino, uwolniony z obowiązkowej pańszczyzny wierności dla margrabiny, łączy się z kochającą go panną Charvier, której ojciec na żądanie syna płaci dawne długi, mające stare swoje grzechy bankierskie.

Pod względem społecznym autor odmaalował tu zbitkę się dawnych i nowych warstw społecznych, dawnej arystokracji rodowej z nową potęgą finansistów. W akcie trzecim, w scenie narady redakcyjnej rzucił dużo głębokich, szczerze liberalnych poglądów na zagadnienia niedawno ubiegłej opoki. Pod tym względem komedia *Bazzełni* jest owozem tego ducha republikanckiego, który wśród gaęgnających rządów drugiego cesarstwa wzrastał stopniowo, gotując się do odegrania przyszłej politycznej roli. Angier występuje tu jako spokojny, ale stanowczy rzecznik liberalizmu, pętnując bezwstyd moralny, jakkolwiek niepotrzebnie z drugiej strony uświęca obłudę komedijny stanowią żywo i dosadnie rysowane charaktery, oraz parę umiejętnie wydobytých efektów, jakkolwiek w zakończeniu sztuka mocno kuleje.

Rolo jej główne odtworzył barwnie lub z werwą: panna Marcello, panowie Tatarakiewicz, Przemowski, Ostrowski, Raspa i Leszczyński, który jako beneficjent zbiera główne żniwo oklasków za grę pełną smaku. P. Leszczyński należy do wybitniejszych talentów naszego personelu. Odnacza się samorządnym zapalem, intycją, która lubi bijać swobodnie i nie zawsze się da ująć w karby ściśle odmierzone. Gdyby miał harmonię artystyczną, świadome panowanie nad zapalem i fantazją, gdyby posiadał tak wysoką zdolność porządkującą, jak werwę zapal i brawurę, połączoną ze świetnymi warunkami—byłby wyjątkowym zjawiskiem na scenie naszej. I bez tego jednak jest aktorem niepospolitym, który potrafi pokonać

lub zadziwić oryginalnością. W kierunku tragicznym godnymi uwagi są jego: Otello, Syn Puszcz, Karol Moor, z innych ról Szokspirowskich grł świętnie Benedykta i Petruchia w komedjach: *Wiele hałasu o nic* i *Poskromienie złośnicy*. Wyborny jest w postaciach salonowców, arystokratów, a nawet rezerow, o czem świadczy cały szereg jego ról w *Akrobacie*, *Miłości ubogiego młodzieńca*, *Półświatku*, grywa wreszcie bardzo dobrze ołów dramatycznych (*Bracia Rantau*) a nawet rolę z odzieniem komicznym, rozwijając albo oryginalną ruchliwość (*Homar*), albo też humor cyniczny, jak np. w roli Strassa z *Rubinków* Blizniaków. Obecnie talent Leszczyńskiego znajduje się w pełni rozkwitu, a gra jego zyskała na spokoju, wykończeniu i równości.

S. K.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Pierwotnie dziecie nowego roku — *Jadwiga* p. Jareckiego, — Moidlerze jednak nabłane. — Co nam przybyło. — Polacy w stanie par i zęszczania na innej planecie. — Właściwy przedmiot nienawisli ks. Bismarka. — Korzyści z nieszczęścia. — Dla pedna Matejki. — Ilustracja historyi. — Traśna uwaga p. Stiegl. — Pogoń za nowymi pomysłami. — Sekcyja konkursu dramatycznego.

Już kilkanaście dni miał nasz rok nowy, a jeszcze ciągle był bezpłodnym, ciągle drażnił ciekawość naszą pytaniami: co też naprędzi urodzi? Nie przywiązano do niego wielkich nadziei, uznano go za karła podobnego ojcu, mimo to wszelkie niedzielnictwo — przynajmniej ja oczekiwałem go od pierwszego dziecka. Przybyło wreszcie na świat, powitane chórem błogosławieństwa i serdecznych życzeń, rozślawione głosem wszelkich dziennikarskich instrumentów. Telegraf bowiem doniósł ze Lwowa, że p. Jarecki wystawił *Jadwigę*, operę, „zawierającą nieporównane piękności,“ która „między najcenniejszymi utworami polskiej muzyki zajmie szczytne miejsce.“ Przypuszczam, że każdy pobozny przyrząd, usłyszawszy taką wiadomość, zdejmuje kapelusz, kłeka, gdzie stał, i dziekuje Bogu; co do mnie, jako pogani, zwracam się wówczas do mojego fetysha, którego zawsze noszę w sercu, i mówię do niego: duchu dobry, ty źródło mojej siły, spraw, abym równie mógł być rozkoszą ludzi. Bo chyba nikt nie zaprzeczy, że wzbogacenie narodu jakimkolwiek wielkim dziełem jest chwałą, która ucieci nado i o którą kusić się warto. To też usta moje brzmiałyby tylko radością z cudzej zaściagi i skargą na własną niemoc, gdyby mi wesela nie zatrzała jedna gorzka kropka — mianowicie, że pewno nasze arcydzieło, zwłaszcza muzyczne, szybko wietrzeja. Zauważył już zapewne sam uczestnik, że gdy z zagranicy przybiegnie wieść o narodzeniu się genialnego utworu, zwykle nie bywa ona kaskadą. Jeśli przeczytamy, że Verdi napisał piękną operę, wkrótce mamy sposobność to sprawdzić. U nas przeciwnie zdarzają się częste zaody. Po wystawieniu *Konrada Wallendro* Zolskiego, cała ziemia polska przez dwa tygodnie trzęsła się od podchwał, buchałyśmy gorąco lawą, a według przepowiedni podobnie trzęsło się miał wkrótce i cały ląd europejski. Tymczasem dotąd *Konrad Wallendro* ze sceny lwowskiej nie przeskożył na żadną inną, a nawet w miejscu swego jedynego tryumfu tak stracił urok w oczach wielbicieli, że go odstępują dla *Jadwigi*. *Jadwiga* p. Jareckiego jest znowu tą długo oczekiwaną operą polską,

która w przybytku sztuki narodowej staje obok utworów Moniuszki. Nie znam jej, nie badam więc jej praw do tronu; ale zapytam: jak też ona długo siedzieć na nim będzie? Kilka miesięcy — rok — dwa? Bodayb dziecie. Mam wszakże złe przeczuć, które mnie nie opuszczały przy ananym huku dziennikarskich moździerzy. Bywają one na każdą uroczystość nabijane jednakowymi ładunkami, tak że słysząc salwy, nie wiem, czy one ogłaszają Boga Narodzenie, czy też dzień św. — Dykda. Nieraz już wierzę, że objawił się gonim — niezadnego wszakże sami kanonierzy armatek chwalczych przynajmniej, że za dużo dosypali — prochu.

Gdyby tedy można było ufać telegramom i korespondencjom, należałoby w *Jadwidze* p. Jareckiego widzieć niewybitny wybitak twórczości polskiej — pierwszy wspaniały promień, jaki wytrysnął z młodej głowy nowego roku. Niestety, nie udoskonalamo jeszcze tak telegrafu, żeby on był byłym przewodnikiem kłamstwa, a krytyka galejska częścieli zmieniała swe sądy, niż nasza *Kronika* lekarza redaktorów i wydawców.

Kto nosi w polskiej duszy jakiś cenny dla świata klejnot, niech go copredzę na wierzach wielobdzie, gdyż może wkrótce, dzięki przyrządom i metodzie słynnego chemika pruskiego, Bismarka, cały żywioł polski zamieniony zostanie w parę. Pod to bowiem jedynie postać będzie mu wolno istnieć w świecie. Jako nieszkodliwa, spokojna masa ciał skazany został na zagładę, z ziemi wyparty, musi więc w stanie gazu wlecieć do góry i albo płynąć z obłokami, albo zgęstnieć na innej planecie. Bakteryje choleryczne, szarańcza, zwierzęta drażniące mają zapewniwszy przez owe go przyrządki dłuższy żywot i większe pobłażanie, niż polacy, którzy nie zadowoliliby swego przodkowskiego, gdyby nawet jako 12 milionów żebraków staneli przy wszystkich drogach kul ziemskiej z wyciąganiem rękami, głodni i obdarbi. Bo i wtedy zwołaliby na konferencyę do Berlina dla omyslenia międzynarodowych środków przeciwko żebractwu. Tymczasem wypędzi kilkadziesiąt tysięcy ludzi niewinnych, którzy nieraz — jak dowiedziono — ponieśli dla Niemiec wielkie ofiary i otrzymali wzięcie wawrzynowe, a naddo zapowiada przeciw polakom „prawą wyjątkową.“ Że to będą „prawa“ skuteczne — nie wątpię, jakie są będą — odgadnąć można z kwiku mieszanca polskiej ras, tuczonej niemieckimi żołędziami, profesora z uniwersytetu wrocławskiego, d-ra Miaszkowskiego. Znacny ten „ekonomista“ (jest to nazwa, którą uczeni muszą dzielić z rabusiami) zaleca prusakom przywrócenie rozporządzenia z r. 1833, według którego majątki polskie subastowano na bawoła państwo i sprzedawano niemcom. Rozumie się na takim skromnym „rodku obronnym“ przeciwo „polonizowaniu niemców“ wynalazca głowa ks. Bismarka nie poprzestanie; maluczo i ujrzymy duży bukiel politycznej moralności krzątnięk.

Szydercza uśmiechy lub gniewne potępienia ranoć „żelazny księga“ na te czasy, kiedy polacy, nie szanując żadnego porządku państwowego, knuli spiski i buntowały się przeciw wszelkiej władzy. Zdawałoby się, że ten człowiek nienawidny w nich tylko rewolucyj, tymczasem obecnie przekonywamy się, że on w nich nienawidzi pracy, spokojnego rozwoju, karności, rozrągi, sił umysłowych. Nigdy bowiem nie był względem nich tak okrutnym, jak obecnie, kiedy odradza jej wewnątrz i opiera ją swoje biedne życie na gruncie prawnym. Po za pustym, przez samych niemców dostatecznie wynycowanym frazesem o „polonizowaniu“ wschodu Prus, nie może on przytoczyć żadnego powodu, żadnego faktu, któryby usprawiedliwiał drakunskie gnębienie ludzi niewinnych. Czy wszakże

kancelarz zwrócił swoje ofiary z dotychczasowej drogi ciężkich dorobków na dawną drogę zuchwałości lub szalonych przedsięwzięć? Wątpię, chociaż samą logikę rozpoznać. Nie wątpię natomiast, że polacy z tej swojej niedoli wyniosła jedną ważną korzyść, robią to, co powinni być zrobić dawno — pobejdą się ostatecznie wszelkich złudzeń względem Niemców, odetną się od nich wiecznym rozbratem — a o za tem idzie — zesławianiuż się. Jeżeli dotąd czuli niechęć do swych pobratymców, to chyba ją teraz w sercach swych znają. Niezależnie od klęsk, polityka pruska, drapieżna, zielistostwa, zdzierająca ze swego dzikiego oblicza nawet ludzkie pozory wyświeźdza Słowiańszczyznę wielkimi dobrodziejstwami — spaja ją, jednocześnie, łagodzą różnice i wzmacnia sympatyje, wskazując wspólne cele. Orli miał wzrok kś. Bismarck, ale w starości przyspiał, nie sięgnął okiem do dalszych okosów przyszłości, nie widział w nich późnych plonów swego posiewu, kończących skutków swej okrutnej działalności, ale widział młodzi jego rodu, którzy już dziś przepowiadają czas odpłaty za lekomyślnie i niegodnie wyrażone krzywdy. Słowiańszczyzna dotąd spisała tylko rachunek swych strat — kiedyś go zamknie i zaskada pokrycia.

Tragedya, której wątku dostarczył kancelarz niemiecki, zawiera nie tylko głęboką boleść, ale matukko swoją wspaniała grozę godną pedzła — Mutejki. Doprawdy mistrz krakowski, który tak potężnie sprzedawia ważne akty dziejów naszych, nie powinien ominąć tego ostatniego. Mam nadzieję, że historia zapisze od straszny wyrok zagłady, ale czy go oceni należycie i przechowa potomnym wiernie? Tu musi jej dopomóc sztuka. Wyznanie żydów z Palestyny a maurów z Hiszpanii, męczeństwa chrześcijan, palenie odszczepieńców — wszystkie to okrucieństwa bardziej utrwalił w pamięci ludzkiej pedzel, niż pióro kronikarskie. Geniusz artysty jest tu sprawdliwym i niepokonyanym sędzią, który nie zadry przed żadną przemocą, którego głos sięgnie w sumienie najodleglejszych pokoleń. Ożemu zaś jakiś malarz historyczny za dwadzieścia lat ma wskazać obwiele obecna, kiedy współczesny świadek lepiej ją odwzory? Ożemu Matejko ma przedstawiać „hold pruski“ a nie „edykt pruski“? Pójde dalej: według mnie jest to jeden człowiek, któregoby ułkił się k. Bismarck, któryby go powtarzał w okrucieństwie lub za nie ukarał. Kto posiada wpływ na mistrza krakowskiego, niech go do takiego obrazu nakłoni. Gdybyśmy zaś ją posiadali geniusz twórcy *Sejmu i Unii*, odrzuilibymy wszystkie Joanny d'Arc, wszystkich świętych i księży a zaozłbył malować Arbuosa polskiego, k. Bismarcka.

Zie essays nastąpi, bo myślenie ciągle przebywa w polityce. Dowodem moje *liberum veto*, które coraz częściej na te dziedzinę pada — na tę dziedzinę ze wszystkich dla mnie najstraszniejsza. Wolę myśleć o ludziach jaskiniowych, o buszmannach, papiusach, niż o kłaczach politycznych. Wieg odchodzi tam, gdzie swobodnie odetchnąć wolno. Kraszewski oskarżył publicznie p. Maryę Szelię o samowolne i nieudane przeobrażenie jego powieści *Herod i Baba* na dramat. Obwiniona dowiodła listem, że sędziwy autor upoważnił ją do tej przeróbki; ponieważ zaś Kraszewski skutkiem tego zarzut odwołał, cała wiec sprawa nie zaskiżywałaby na zaznaczenie, gdyby p. Szelię nie dotknęła w swej obronie jedynego punktu zasadniczego. „Uganiecie się nieustannie — powiada ona w *Echu muz.* — za nową myślą, z lekceważeniem i pominięciem doniosłości formy, jest dowodem płytkiego prostactwa pojęd.“ Nareszcie jest ktoś drugi, co tym dźwiękiem spiętych bundi. Od lat wielu grubo podkreślałam smutną fakt pogoni za „pomysłami“, który to sport nasi powieściopisarze, a zwłaszcza komedyopisarze przejęli od magików i ku-

glarów literatury francuskiej. Nowa bajka stała się wszystkim — obrobienie jej niczem. Mózgi wyauzają cały swój dowoip na wynalazienie jakiegoś świętego i krętego wątku, który by uderzył niewyuczajnością i zakrył nią partactwo roboty. Gdy cztym przez całą pracę europejską z zadowoleniem powtarzane anegdoty o jakimś p. Sardon, który podozwa wesołej rozmowy w kawiarni zwał się i szybko odchodził do domu z pomysłem do nowej komedyi, co mu nagle błysnął w głowie, gdy czytał naszych literatów szukających „dobrego tematu“, zdaje mi się, że to nie są artyści, ale fabrykanci różnych *criri* i „kwestyi rymalskich.“ Dla talenta bowiem wszelki „temat“ jest „dobrym.“ Gdy Shakespearo siadł do pisania swego *Otella*, miał najwykleszy, znany przez milion mądrych i tylek głupich pomysły — zazdrości męzowskiej. Gdyby zaś dziś żył i zechciał nadramatyżować bajkę „o czapli na wysokich nogach, która obchodziła po desce“ — z pewnością stworzyłby dzieło znakomite.

Alie, szal nie mówmy tak głośno o tajemnicach sztuki dramatycznej, bo właśnie komitet konkursowy w prosekutorium *Gazety polskiej* otwiera wnętrza woienł kilkunastociu „nowych pomysłów.“ między którymi jest kilkanaście starych księgien i ksiąg, ubranych w kryzy „białych wierszów“ i powlokyste suknie popielatej prozy. Niedługo już zapewne utworzą się dzwi grabarni i mistrze ze skrawkami skalepalni w ręku ogłoszą światu, który z noworodków pod ich błogosławieństwem ma żyć i otrzyma 1,000 lub 500 rs. wiana. Będzio to naturalnie „nowy pomysł“ — oby także i — nowy talent.

Pożel Prandy.

NA WIDNOKREGU.

Ideal wójta. — Ekonomska tyłka. — Przyczynek do etyki adwokackiej i szlachekiej. — Głos sumienia i głos lichwiarza. — Szlama-Metastefes. — Dlaczego żydzi boją się służby wojskowej.

Jakkolwiek prasa nasza utyskuje często bardzo na „obniżenie ideału“ w literaturze, coraz częściej jednak wynajduje ideały w życiu. Rozmaite klasy społeczne miały po kolei zaszczyt służyć za woienienie ideału, już to zbiorowo, już tylko w osobie wybranych przedstawicieli. Trudno uwierzyć, chociaż jest to faktem, że przyszła wreszcie kolej na wójtów gminy. Po długich poszukiwaniach znaleziono wreszcie idealnego wójta, co prawda, nieetywego, ale za to tak wielkiego zasług, że mu wdzięczna „własność większa“, wystawia pomnik po śmierci. Wójta-ideal, nie umiał ani czytać, ani pisać, ale posiadał te przymioty, które każdego człowieka czynią użytecznym członkiem społeczeństwa, „mianowicie“, „razdy w gminie prowadził nie pisać ale on sam, furmanek stojkowy nie brał za darmo, na nieczytliwych sobie nie nastawał i mieszkawcy jednak.“ Chociaż włóścianie mają powszechnie zwyciężać wybierać na urzędy „co najgłupszego“, sądzę jednak, że znalazłoby się w Królestwie wielu wójtów, dorównujących niepięmienności i zasługami nieboszczykowi, brak im wszakże szczególnych przymiotów, jakie w dalszym ciągu *Gazeta* polska wylicza. „Dwory z wsiami stałe prowadziły do zgody. Jako rolnik z zawodu wdział się gospodarstwo wtedy tylko rozwiadał się może, gdy między *świeńskimi* (?) nauprawnym obaszare, więc też uisnieł podobnie znieścienność i szachownicy drogą dobrowolnych układów i sam do tego czynnie przykładł rękę.“ Jeżeli dodamy jeszcze z *Gazety historycznej*, że z pałami naradzał się i rozumnych uwag słuchał, własna wy-

obrażnia zaś narysuję nam obrazek rodzajowy, jak ów ideal obejmuje pańskie nogi i caluje w łokcie proboszcza, to zrozumimy, dlaczego obywatel, czy obywatel wystawili zmarłemu wójtowi pomnik. Doniesienie *Gazety historycznej* zawiera przesłanie jeden szerszy, który inne pisma opuściły. Na uroczystości poświęcenia nagrobka nie było wcale dzieci zmarłego, a nawet starszy syn i następca na urządzie nie chciał walczyć, żeby pomnik stawiano. Czy to niechęć do nieboszczyka, czy też niechęć do łaski pańskiej sprawiły, korespondent nie objaśnia, rudi tylko zasięgnąć wiadomości w parafii. W każdym razie wypadł ten świadek, że albo ideal nie był *łuskszy*, albo też ożożenie, w którym był, ma inne nieco pojęcia o wymaganiach, jakim ideal odpowiadać powinien.

Bądź co bądź, zmarły wójt żył włością i pokorą zdobył sobie jakiś kątek w pamiętione sławy narodowej, w którym odpocząnie po trudach gospodarstwa i urzędu. Wiele upokorzeń znieść on musiał, ażeby kupić sobie ten zaszczyt. Bo dotychczas, czy w obcowaniu codziennem, czy w obchłach uroczystych, zwykłe obłopa spotykałki wzgardziwa przychylność. Nawet w literaturze przebiega się wyrażnie ta, nie powiem szlachetka, ale ekonomska tyłka pogardy dla chama. Korespondent nasz z Lublina zwraca uwagę redakcyi na taką tyłkę w *Gazecie* miejscowej, która zwykle, mówią o włóścianach, odzywa się z przekasem, tem bardziej niewłaściwym, że ci, których on dotyczy, nie czytają przecie pisma wcale. Wziarnia o boję z powodu sporu o grunt, pozostaje włóścianom za wyjątek lub przynajmniej za wadę obęd posiadania ziemi. To przywiązanie do gleby, ten prawdziwy kult ziemi, jaki włóścianin wyznaje, jest w znacznym ożści bezwiedna może, ale najwyższą cnotą społeczną, jest nadzieją naszej przyszłości, zabezpieczeniem naszego istnienia od klęsk nieprzewidywanych. Posterunku tego bronij już dziś tylko chłop polski, i dopóki on go trzyma, możemy być pewni, że dziedzictwa swego nie sprzeda, nie rozstrwoni i nie przeformarzą a innym strwonił i zniszczyć nie da. Ponieważ zaś ta ziemia, którą miłuje, jest dlań wszystkim, nie dziwnego, że dąży czasem do jej posiadania wszelkimi sposobami, na jakie zdobyć się może, że pragnie utrzymać jej jak najwięcej i broni swej obywateli, nie licząc się z wymaganiami prawa. Biorąc zaś na uwagę stan obywateli naszego ludu, bójka o grunt jest zwyczajną rozprawą, których tysiące warstwy inteligentne prowadzą w sądach. Dlaczego zaś argument pięcio ma być etycznie niższym od wykrętu, nieposzanowania cudzej woli lub fałszerstwa — wytłomaczyć sobie nie umiem. Spodziewam się jednak, że pomoże mi rozwiłkłą tę wątpliwość współpracownik *Gazety lubelskiej*, piszący „o sądownictwie.“ Jaeno i otwarcie wyraża na obronę sędziów adwokackiego, który nieraz już półgłębkiem wytykał nam nasi znani i szanowni prawnicy. „Sędzia, usiłujący zbadać moralną stronę stosunku ożywnego — powiada on — mimowoli utracą (?) trwały grunt pod stopami, gdyż forma będząca duszą przepisów cywilnych, musi ustąpić przed słusnością.“ „Im większa sędzia przywiązuje wagę do wewnętrznej głosu sumienia, tem dowieńszajem bywa stosowanie przepisu.“ „Młody sofista (o wieku świadoży styl autora) pragnie, żeby sędzia nie słuchał wcale sumienia, ponieważ w takim razie interpelacja przepisów musi być romantą. Dla obrony swego zdania autor gwałci logikę (forma, która jest szarazem duszą) i etykę, oraz zapomina spełnienie o zadaniu sądu. Przecie są istniejące dla wymiaru sprawiedliwości, nie są dla ujednolinitania interpretacji lub też dostarczania adwokatom zarobku za prowadzenie spraw. Sędzia, który by nie słuchał głosu swego sumienia, byłby martwym

manekinom, złym urzędnikiem i gorszym jeszcze obywatelom. Jeżeli przepis wymagał, rozmaitego tłomaczenia, to dowodzi tylko, że albo są one niedostateczne, albo nie odpowiadają rzeczywiśtemu stanowi. Gdyby wskazywałoby nawet najlepsze, nigdy nie potrafiłoby wpaść w ramy prawa pisanego różnorodności objawów życia. W nie krępowaniu więć działalności sądu martwą literą przepis, ale w rozszerzeniu zakresu jego samodzielnosci widzieć należy postęp społeczny. Rozumie się, wtedy koniecznym warunkiem jest posiadanie pewności, iż sędzia słucha tylko głosu sumienia, nie zaś pochlebnych lub też brzącących dźwięków.

Sędzia, że *Gazeta lubelska* nie przytoczyła z kroniki miejscowego sądu wypadku, o którym niżej opowiem, bo sprawa ta wyjaśnienia należały jak to przepis rozstrzyga się nie raz z głosem sumienia. Obywateli ziemski oddał ekonomia i zamiast nalegiej pensyi wydaje mu kwit. Ekwitem w ciągu roku dopomina się kilkakrotnie o należność, słałachcie zaś naznacza coraz nowy termin i długi nie płaci. Kiedy wreszcie zniecierpliwiony wierzyciel podaje skargę do sądu, p. obywatel oświadcza, że nie chce wolać mówić o słuszności żądania, prosi tylko o umorzenie sprawy, ponieważ należność z zaspół ulega — rocznemu przedawnieniu. Sędzia gminny powództwo ekonomia oddalił. Ponieważ wierzyciel na kwit, może spodziewać się, że w wyższej instancji sprawę wygra, ale nie zawsze odprawiony służy posiadawcy dółd piśmienny. Osoba, która dostarczała nam szczegółów opisanego faktu, twierdzi, że nie pierwsza to już sprawa tego rodzaju w Lubelskiem. Opinia publiczna poblatwie sądzi niesumiennych krętarczy, gdyż „są oni w interesach,” sąż zaś, jeżeli nie słucha głosu sumienia tylko bramania przepisu, musi uwięzić swym wyrokiem oszustwo.

Trudno niezmiernie sędziemu w Wilnie słuchać głosu sumienia, i nie wleźć pokusie lub też grzebie lichwiarzy, którzy trzymają w swych rękach cały personalny urzędniczy. „Wszyscy roszuciuje w ten nieścio — powiada korespondent gazety *Sowiet*. *Zwiedzieli* — są dłużnikami żydów.” Opisu szczegółowego zastawiania sieni na nieopatrzonych przybywach nie powtarzamy, rzecz to znana, dodamy tylko, że według autora, katolicy jako lepiej oznajmieni ze stosunkami miejscowymi (a może oszczędniejsi) rzadko wpadają w łupkę. Ale nie idzie nam o wyzysk lichwiarski, pragniemy jedynie przedstawić obraz chłosty, jaką odbiera sędzia, który postanowił bądź co bądź słuchać głosu sumienia. Oto dosłowny opis tej scenki.

„Przed sędzią pokoju staje żyd Etkin, oskarżony o jakieś drobne przestępstwo. Etkin zachowuje się wyzywająco i sędzia skazuje go na trzy ruble kary. Żyd na to odpowiada: *nul sztrafujcie*, i znowu odpięta grubianko. Sędzia skazuje go jeszcze na 10 rs. kary. *Nu, chto sztrafujcie* z uśmiechem odzywa się skazany. Gdy sprawa skończyła się, sędzia poznajmy Etkinowi, że karę pieniężną osiągnie zeń policyja. Żyd wcale się nie tym nie martwi, dostaje z zandarra jakiś papier i podaję go sędziemu mowi: *Nu, po co ja mam dawać policyi? Mam tu panaki woksal na 400 rs.*, odpis pan na nim 13 rubli i zapład sam gdzie chcesz.” *Zawto* można wystawić sobie wstyd sędziogo, narazonego na taką zniewagę wobec licznej publiczności. Sprawozdawca odia wną tukich stosunków składa na żydów, gdyby czytał *Korespondent ploskiego* znalazłby jakby umyślnie przeznaczoną dla siebie odpowiedź. Autor wzamianki słuszenie bardzo zwraca się przeciw p. F. M. opisującemu jakże bijatykę, która zakończyła się tragicznie, bo śmiercią jednego z walujących, i zwałającemu winę tego zanjęcia na żyda Szlamę, ponieważ ten sprzedał awanturnikom wódkę przemycaną. „Biedny Szlamie! — wola

plócezanin! — kiedyś przybył do wsiaprzad pół kwarty spirytusu, wcale nie przyszło ci na myśl, że stajesz się od tej chwili odpowiedzialny za wszelkie skutki i następstwa, jakie twa murna pruska wódka za sobą pociągnąć może.” *Już*żi przemycanie wódki jest zjawieniem zbrodnim i zasługującym na karę, ale nie oznaczaż przebie wstępniw w zbrodni, jaką spóżywa szwarowki pod wpływem jej popoeli. „Kiedys wreszcie przostaniemu uważaś pierwszego lepszego Szlamę, Moška lub Szlamę za naszego Moštoflesa!” — dodaje korespondent i robi trafną uwagę, że złe spóżywa w ogólnych warunkach bytu włóściin. Jeżeli usunniemy te warunki, wówczas ten samponysłowy Szlamę sprzeda między ludem użyteczne książki, także nie dla rozszerzenia światła, lecz dla zarobku, jak obecnie sprzedaje spirytus w tymże celu.

Płytkość nasza lubi takie „proste” objaśnienia za pomocą zasady: *post hoc ergo propter hoc*, kiedy zaś idzie o żydów, to nawet i pozorów objaśnienia nie — wystarcza. „Wiadomo, żydzi to są żydzi itd.” — mawiają za jedyny argument. Niedawno postawiliem zapytanie: dlaczego izraelci bułgarscy chętnie pospieszyli do wojska i bili się dobrze, nasi zaś w myślę nowo schowaliby się przed karabinem. Już zestawienie tych faktów dowodzi, że nie tohorzostwo lub raczej nie tylko tohorzostwo skłania żydów do ukrywania się przed służbą wojskową. Odpowiedziałem na pytanie i dziś dookładnie nie mogę, przytoczyć jednak z *Gazety warszawskiej* kilka faktów, które dostarczą może materjału do wyjaśnienia ciemnej sprawy. W Wilnie młody żydek, skoro dowiedział się, że jest zdolny do wojska, wydobyl nóż i przebił się, tak, że i kilka godzin później życie zakończył. Inny szan, chcąc uciec głuchego, nasypał sobie do ucha niezgaszonego wapa, następnie zaś nalał wody. I ten również w cierpieniach nieślychanych skończył. Obcinano palców u rąk i nog jest rzeczą bardzo częstą. Trudno wypadki tego rodzaju objaśnić tohorzostwem, bo nawet w razie wojny żaden z tych niesząglących nie był narażony na takie cierpienia i męki, jakie sam sobie zadaje. Porównajmy, że żyd był się karabinem, jak dyabeł swięconej wody, nikomu chyba nie wystarczy, bo jakkolwiek nie wierzę w zapewnienie *Izraelity*, że „krew Machabaszów płynie w naszych żyłach,” nie mogę sobie wyobrazić, żeby ćwiczenia z bronią sieczną lub też odległa perspektywa śmierci w boju, której prawdopodobieństwo każdy żyd, jako dobry rachmistrz włóściwie ocenił potrafi, mogły skłonić oświełka do samobójstwa. Muszą być więc inne przyczyny, których jednak zbadać nie staramy się, ale zbywamy je naszym polskiem: „jest w tym coś.”

J. Nieborski.

Węgrów. Mieszkańcy tutejsi postanowili założyć szpital i szkołę czerkaskich. Obywateli okoliczni ofiarują na cel oprócz zapomogi pieniężnej, ogień i drzewo. Na pomieszczenie dla szkoły nadaje się b. klasztor reformatorów, gmach ten stanowi własność rządu, jest wszakże nadzany, że odstąpiwszy będzie miastu bezpłatnie lub na dogodnych warunkach.

Mińsk. Szkoła rzemiosł dla dzieci wyznania mojżeszowego utrzymują się wyłącznie prawie z ofiarności publicznej, opłata bowiem jest bardzo niską i pobiera się tylko od zamożniejszych, kahal zaś udziela bardzo skąpy zasiłek. Pomimo tego szkoła rozwija się i liczy obecnie 400 wychowanków, w tej liczbie 11 chrześcian, fundusz na utrzymanie zakładu dostarczają wyłącznie inteligentni izraelci. Przykład poręczający dla Warszawy i innych miast polskich.

Łódź. Fabrykanci miejscowi złożyli 3.200 rs. styndem dla uczczenia pamięci generała Kochanowa, b. gubernatora piotrkowskiego obecnie

zaś generał-gubernatora. Z styndem tym tego koszt mają przedwzyszkami prawosławni, potem ewangelicy, a dopiero gdy nie będzie kandydatów obu tych wyznań — katolicy.

Tetar polski nie znalazł w Łodzi dostatecznego poparcia i Towarzystwo dramatyczne wyjechało do innych miast, natomiast bogaci przedsiębiorcy składają sute ofiary na subsydium dla teatru niemieckiego. Jeden z zamożniejszych fabrykantów, znany jako „dobry syn przybranej ojczyzny” złożył na ten cel 4.000 rubli.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Selęg rocznicę śmierci Mojżesza Mendelsobna (4 stycznia) obchodziły orczyście Niemcy. Zapomniany już dziś „obrońca Boga i nieśmiertelności duszy,” apostoł swobody myślenia, twórca filozoficznego języka w Niemczech zamartwychwstał w młotwie artykułów i brosur na poświęconych. Porównywano go z Sokratesem, a chociaż niektórzy aprowadził to podobieństwo tylko do wspólnej brydoty i chociaż rzeczywiście naraził siły umysłowej i wpływu był bardzo nierówny, zestawienie to na poniekąd swoją rację.

Annas, wydawnictwo humorystyczne ilustrowane K. Bartoszewiczem w Krakowie. Jest to zbiorek wesołych opowiadań, poezyj, anegdot lid, przeplatanych żręcznie rysowanymi obrazkami. Humor w nim dużo — dowcipu — dosyć, tłuściości — mało. **Annas** należy niewątpliwie do najszczęśliwszych ksiątek w swoim rodzaju.

Tanie, a właściwie najtańsze wydanie dzieł Mickiewicza (za 1 zł. 75 cent.) wydanie nakładem Bartoszewicza w Krakowie.

Radomianin kalendarz na r. 1866, wydany przez Z. Słupickiego. Wartełkie objawy ruchu książkowego na prowincji cieszą nas bardzo; i ten kilka skromny objaw myśli godzi się uznać, pomimo swej słabiej miejscowej barwy. Bez wizerunku znaczniła straty ogniomu lud dyrektora kasy przemysłowej mogłby się **Radomianin** obyć — przynajmniej to zapewne sami uczeni oświełkiem i rylcem.

Bibliografia. H. Struve *Estetyka barnu*, Warszawa, nakład autora.

— P. Chmielowski, *Zarys literatury polskiej z ostatnich lat 30*, Warszawa, nakład A. Gruszeckiego.

Stary zabzytek. W klasztorze misjonarzy w Krakowie znalezione rekonpi Biblii, pochodzący z XI wieku. **Muzeum zoologiczne** zakładu w Warszawie hr. K. Branicki. Podstawę jego stanowią liczne okazy zebrane podczas podróży po Afryce przez ojca p. Branickiego. Urządzeniem muzeum, przy którym znajdował się będzie biblioteka przyrodnicza, zajmują się p. Taczanowski i Stolzmann.

Protest. Michał Balucki za pośrednictwem posła austriackiego wniósł do dyrekcji teatrów cesarskich w Petersburgu protest przeciw przerabianiu dzieł jego przez autorów rosyjskich, którzy tłomaczenia te wydają jako oryginalne utwory. Baluckiemu nie idzie bynajmniej o wynagrodzenie, ale o postanowienie praw autorskich i napieżnowanie plagiatów.

Popularność. Zakład fotograficzny Lerta w Sofi sprzedał w ciągu kilku tygodni 60,000 portretów ks. Aleksandra bułgarskiego.

Nadzór szkolny. Dla uczniów wyznania mojżeszowego zaprowadzono w Mińsku oddzielne stancje żydowskie, zaś zabroniono izraelitom oddzielnie korespondyć chrześcianom.

Prasa polska. W Poznaniu zaczęło wychodzić pismo ekonomiczne *Trud*, które oświadcza, że „stać będzie na gruncie religijny” (7).

— W Milwaukee w Stanach Zjednoczonych wychodzi czasopismo *Krytyka*.

Wypadki. W Kijowie wskutek wybuchu zniszczony został gmach arsenału, przyczem zginęło 4 ludzi, 3 zaś odniosło rany. Czyś zapas kuli (12 milionów sztuk) wybuch rozrucił we wszystkich korpach.

— We Lwowie spłonęła szkoła, należąca do magazynu wojskowego, w której trzymano wleczące i aresztantów policyjnych (7). Kilku z tych niesząglących żywych spaliło się.

Nagrody. Towarzystwo Zachęty sztuk pięknych z dzieł przybranych na konkurs wybrało do pierwszej nagrody obraz p. M. Kotarbińskiego: *Pod strażą aniołów* i Maszyńskiego: *Ostatnie wieki*. Drugą nagrodę

trzymał utwór p. J. Ciągłńskiego *Chrystus u sadzawki Siles*.

W dziale rzeźby pierwszą nagrodę dostał p. Zawiej-
ski za *Popiercie wieśniaka*, drugą p. J. Wojdyja za
Rybaka.

Studenci berliński na „kommersu” wyprawionym
z powodu jubileuszu cesarza Wilhelma wypili 10,000
kufli piwa.

Kolonizacja. W tych dniach przez Warszawę przeszła
parcja wędźlarzy rosyjskich, którzy jako kolonizacja osied-
lają się w okolicach Czerstowu.

Specyjalista. P. S. Krzemieński *kręgiel literacki* mia-
nowany został naczelnikiem biura statystycznego drogi
kolejowej Iwangozdiko-dąbrowskiej.

Babry na Polesiu znajdują się jeszcze w 7 miejsc-
owościach, w dobrach Słuckich. Opieka nad temi zwier-
zętami jest bardzo staranna. W 140 chatkach i 182
wielkich mieszka 314 starożytnych i 252 młodych bobrów.
Opieka też w niektórych okolicach Polesia mieszka
jeszcze bobry, ale w małej ilości.

Wybór. Prezesem komitetu Towarzystwa osad ro-
lnych obrany został p. L. Górski.

Emigracja. W ciągu lat czterdziestu t. j. od 1871 do
1884 włącznie wyemigrowało z Królestwa polskiego
do Ameryki 117,127 osób, najwięcej w r. 1881, bo
21,315 i wogóle w latach ostatnich 1882—14,931,
w 83—12,648, 84—13,500, najmniej w 1877 i 80
tylko po 1,996 osób.

Ciekawą lat w Ameryki pomieszcza *Gazeta polska*,
rutmęrem jest Izraelita rodem z Mławy, który przed
kilku laty wyemigrował, obecnie zaś jest notaryuszem
w Chicago. Twierdzi on, że polaków w Stanach Zje-
dnoczonych liczą około 1/2 miliona, chociaż cyfra urze-
dowa znacznie malejsza, ponieważ poznaczycy i gal-
licyanie zaplują się jako prusacy lub austriacy. Żydeł
tylko z Królestwa liczą się do narodowości polskiej,
zajmują się zaś przeważnie handlem. Polacy dotych-
czas nie mają reprezentanta w kongresie, ponieważ nie
mogą zdobyć się na organizację zbiorową, jedynie
wychoźcy z Królestwa łączą się chętnie w wielkie
gromady i są wogóle zgoda, że ich jest najmniej,
przeważają zaś część ludności polskiej stanowią emi-
granci z zaboru pruskiego.

Kradzieże. W biurze dyrekcyj naukowej iódzkiej
skradziono bardzo ważne papiery urzędowe, które za-
pewno odnajdą się wkrótce w szpaltach dzienników
niemieckich.

Wydział historyczno-literacki Towarzystwa przy-
jął naukę w Poznaniu wywaza ludzi interesujących się
krajownictwem do zbierania nazw miejscowych:
lasów, gajów, pagórków, jezior, stawów, bagien,
strug, uroczysk i wogóle wszystkich miejsc niezamie-
szkałych. Dato nauki takich zapisano na mapach po-
pularnych dóbr ziemskich, imie nazw zachowały się
doład w pamięci ludu. Materiał zebrany należy prze-
słać do Poznania, najlepiej pod adresem Towarzystwa.

Zmarli. Baudry, sławny malarz francuski.

O. F. Berg, popularny dziennikarz i autor dra-
matycznych wieśdelek, redaktor pisma humorystycznego
Kikeriki, zmarł w szpitalu obłąkanych.

N. Tkaczew, znany publicysta rosyjski, późniejszy
emigrant, skończył życie w Paryżu również w zakła-
dzie dla wariatów.

Brahma. Kop. 50 pozostanie do pańskiego rozporządze-
nia, gdyż za tę cenę nie wysłać nie możemy.

OFIARY.

Na kasę Mianowskiego. Bogdan Rodalski z Wysinie
Woloczka rs. 5, Antoni Dąbrowski z Sokolowa rs. 5,
Marya Laskowicz z Piatkowoszczyzny rs. 5, Jan Karlo-
wicz rs. 10.

Dla *biednych*. Dowojno-Sylwestrowicz z Mało-
woszczyzny kop. 5, Stasio i Zoia rs. 5.
Na upiód dla ucznia. Borowski ze Słucka kop. 50,
K. P. rs. 3.

Dla studentów. Z. J. rs. 5.

Dla nędzy wyjeżdżającej Od A. K. z Olkusa dla ucznie-
nia pamięci zmarłych rodziców i siostry rs. 2 kop. 50,
Dla studentek polek w *Petersburgu*. Władysław Szy-
dowski z Wyżnicy kop. 50.

Do rozporządzenia redakcji. Za wypuszczone pier-
ścionek na loteryję przez M. L. rs. 35.

Dla *pogorzelców* Grodna. Dąbrowski z Sokolowa
rs. 2 kop. 25, Łopuszyński z Petersburga rs. 2 kop. 30,
Marya Wrzeszcz rs. 3, Helena Wrzeszcz rs. 2, Julian
Stemieniecki rs. 1—z Kijowa.

Dla poleków wyjeżdżających z Prus. Dąbrowski z Soko-
lowa rs. 2 kop. 25, Władysław Witwicki z Wierchbna
Ufańskiego Zawodu rs. 1 kop. 50, za wypuszczone
pierscionek na loteryję przez M. L. rs. 40.

Ogłoszenia.

Redakcja PRAWDY zawarła umowę z p. K.
Bartoszewiczem, na mocy której tanie jego wy-
dawnictwo dla pisarzy polskich otrzymywać
mogą naci prenumeratoremie po nadzwyczaj zni-
żonej cenie, a mianowicie 15 tomów dzieł: J. N.
Niemcewicza (5 tomów), Jana Kochanowskiego
(4 tomy), Ignacego Kraskiewicza (5 tomów)
i Satyry Opalińskiego (1 tom), których i tak już
niska cena księgarska wynosi 11 rs. 25 kop. —
odstępnie p. B. dla naszych prenumeratów za 1
rs. 30, czyli 15 tomów wydawnictwa (230—330
str. druku) wypadać za 33 kop.

Abonentci z prowincji zechcą dołączyć do ko-
szta przesyłki rs. 1.

Pojedynczo można nabywać w naszej Admini-
stracji:

Dzieła J. M. Niemcewicza za 2 rs. 25 kop.

Dzieła Ign. Kraskiewicza za 2 rs.

Dzieła Jana Kochanowskiego za 1 rs. 50 kop.

Satyry Opalińskiego za 50 kop.

Upraszamy o wcześnie zgłaszanie się w powodu
niewielkiej ilości kompletów.

SPÓŁKA NAKŁADOWA wydała studjum
etnograficzno-społeczne W. Smoleńskiego p. t.:

DROBNA SZLACHTA W KRÓLESTWIE POLSKIM.

Cena kop. 60.

WIELKI ATLAS
ZOOLOGII I BOTANIKI
i MINERALOGII
Prof. D-ra HAYEKA
VI zeszyt zawierający tabl. „Ryby” wy-
szedł z druku i nadbija po 60 kop.
Warszawa — Wydawca
H. Olawski.

J. Brandes
Główne prądy literatury XIX-go wieku.
Tom I, II i III po rs. 1 k. 50, tom IV
rs. 2. Całe dzieło rs. 6 (z przesyłką
pocztową).

BOLESŁAWA PRUSA

(Aleksandra Głowackiego)

SKICE i OBRAZKI

tomów 4, z portretem autora

Całość rs. 3, każdy tom pojedynczo kop. 80.

Tom pierwszy opuścił prasę i zawiera
utwory następujące:

Nowy rok. — Żywy telegraf. — Na wakacjach. —
Kocha nie kocha? — Katarzynka. — W Górach. —
Kamietelka. — Cienie. — Pomniety. — Przekle-
ście. — Przy księżycu. — Młokne głosy. —
Stara bajka. — Płesć świata.

Tomy następne wyjdą w bieżącym kwar-
tale.

Po wyjściu drugiego tomu prenumerata
ustają, a cena czterech tomów podniesioną
będzie do rs. pięciu.

Przesyłający pieniądze bezpośrednio do
kantoru Spółki kosztów porta pocztowego nie
ponoszą.

Abonentci prowincjonalni otrzymają
wszystkie tomy razem.

SPÓŁKA NAKŁADOWA.
Zielna 7-A.

Nakładem Prawdy wyszło ilustrowane
dzieło słynnego badacza angielskiego J. E.
Taylor'a p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę
miesięcy a już zapowiadana jest w prze-
kładach na kilka języków europejskich,
w mistrzowski sposób, w niegwałcących
ścisłości naukowej upodobnieniach sto-
sunków roślinnych do ludzkich popula-
ryzuje prawdy i najnowsze odkrycia bo-
taniczne, otwierając najmniej przygotowa-
nemu nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyploma-
cja. — Gra w chowanego. — Obrona nie szczep-
ka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwo-
wo gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankruc-
two. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna
strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnie-
nie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. 2;
dla abonentów naszych, rs. 1 k. 50.

Zwracający się z zadaniami bezpośre-
dnio do naszej Administracji kosztów
przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICZY MYŚLI.

Cena rs. 1. (wraz z przesyłką pocztową).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincji
upraszamy o natychmiastowe doniesienie
nam o każdym opóźnieniu lub niedoborze PRA-
WDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie
w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę
zab — w sobotę.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Prenumerata. Nie „staradą” ale zwykła omyłka
przy wystawianiu ogłoszenia, której ono przedtem nie
zawierało.

P. K. Rom. u *Szczecińskiego*. Bobrzyńskiego t. dwa,
cena rs. 4 nakład Gebethnera i Wolffa.

Al. M. V. Nie możemy Pana objąć, jakie są wa-
runki wstępu na uniwersytety i życia studentek;
za granicą, gdyż „zagranicą” to cały świat oprócz nasze-
go kraju, a warunki w różnych jego punktach są różne.
P. Karolowi Str. u *Sannikach*. Przedewszystkiem:
O powstaniu *gątników*, potem O *położeniu człowieka*,
O *dobrości pociągów* — dalsza za koleją może być dowol-
na. Niewolny od błędów, ale ostatecznie najlepszy
Słownik Dubrowskiego.

P. A. Zoj. w *Pollmanu*. O *postaci*. Pokrewna z dzie-
łem Taylor'a jest książka *Życie i obyczaje zwierząt*, będą-
ca wyciągiem W. Niewiadomskiego z wielkiej pracy